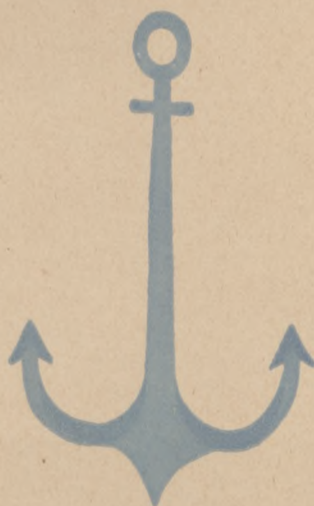
Nr. LXVI Grudzień 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ



WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Nr. LXVI Grudzień 1938

NASZA PRZYSZŁOŚĆ



WYDAWCA I REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI
ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, ŻÓRAWIA 11 m. 8, TELEFON 9.27-61

Druk. „Lecz", Warszawa, Koszykowa 33, tel. 8.90-66.

TREŚĆ.

Na przełomie Nowego Roku
(Z Niemcami czy z Rosją?)

Przed dwoma laty kilku członków Sekcji dla spraw zagranicznych Zw. Polskiej Myśli Państwowej było świadkami następującej sceny, niebywałej przedtem w Warszawie i dla Warszawy, t. j. dla mentalności przeciętnego ogółu inteligencji naszej stolicy. W jednej z sal pewnej, bardzo poważnej instytucji naukowej odbywał się odczyt publiczny, tłumny, na temat świeżego jeszcze wówczas zagadnienia Niemiec hitlerowskich. Prelegent, człowiek umiarkowany i objektywny w swych zapatrywaniach, traktował trudny ten i delikatny dla Polski temat z odpowiednią oględnością i ostrożnością, zdając sobie zwłaszcza sprawę, że przeciętna opinja publiczna Warszawy, jak zresztą i całej Polski, jest oczywiście nastawiona od dawnych czasów nieprzychylnie i nieufnie względem Niemców.

Taktowne ze wszech miar przemówienie prelegenta nagrodzone zostało oklaskami. Ale oklaski powtórzyły się znacznie potężniej, jak żywiołowa burza, gdy w dyskusji nad referatem ktoś postawił ostro dylemat, czy wrazie konfliktu między naszym wschodnim a zachodnim sąsiadem ma Polska iść za Bolszewją, czy za Hitlerem? Na to zawrzała cała sala jednogłośnym, spontanicznym porywem: za Hitlerem! Tego przedtem nigdy jeszcze w Warszawie i na ziemiach polskich wogóle nie widziano. Warszawa oklaskująca z widocznym entuzjazmem wojenno-braterski sojusz z Berlinem. Tego jeszcze nie było.

Nawet bardziej uświadomieni w sprawach polityki uczestnicy zebrania, zdecydowani, bezkompromisowi przeciwnicy Rosji w każdej postaci, skłaniający się ze względów ogólno-kulturalnych ku Niemcom, jako bądź co bądź przedstawicielom wysokiej europejskiej cywilizacji i przeciwnikom bolszewizmu, byli mocno uderzeni tym niespodziewanym wybuchem germanofilizmu ze strony przeciętnej publiki warszawskiej, wyhodowanej przez długie lat dziesiątki ideologją mniejwięcej endecką lub radykalną, a więc w obu wypadkach antyniemiecką. Wszak

niedawno jeszcze przedtem niemal każdy Warszawiak, zapytany prywatnie o zdanie, skłaniał się stanowczo na stronę t. zw. ideologji słowiańskiej, niekiedy wprost prorosyjskiej — z zastrzeżeniem oczywiście antykomunistycznem — a przeciw Niemcom jako naszemu „największemu wrogowi".

Aż tu nagle taka zmiana, rzęsiste oklaski na myśl o wspólnym pochodzie z Hitlerem?! A wiedzieć trzeba, że zebranie to wcale nie było specjalnie spreparowane, nie składało się bynajmniej ze zwolenników jakiegoś jednego obozu, nie było urządzone przez inicjatorów dla propagandy i pogłębienia wśród słuchaczy oficjalnego paktu o nieagresji, zawartego między rządami polskim a niemieckim. Nie — zwykły odczyt publiczny, na który mógł przyjść, kto chciał.

Jako więc symptom i wyraz pewnego zwrotu w opinji publicznej oddało to zebranie pewną przysługę ówczesnej naszej sytuacji politycznej. Był to bowiem okres pierwszych przyjaznych dla Polski mów Hitlera oraz innych propolskich objawów ze strony miarodajnych czynników w Niemczech, po których czynniki te oczekiwały odpowiednich przejawów wzajemności ze strony społeczeństwa polskiego. A że dla nas wszelkie przyjazne ustosunkowanie się Niemiec ma oczywiście wielką wartość realną i prestiżową, więc podobne manifestacje, w należytym umiarze utrzymane, były wówczas nawet pożądane w liczniejszych wypadkach. Byłoby przecież niepolitycznem, bezrozumnem, gdyby Polacy mieli odrzucać wyciągniętą do nich rękę ze strony jakiegokolwiek cywilizowanego mocarstwa, choćby do niedawna wrogiego. Dobra polityka nie uznaje sentymentów.

A już, o ile chodzi o Związek Polskiej Myśli Państwowej, to on zawsze prawił i pisał przy każdej okazji, że porozumienie z Niemcami w różnych konkretnych sprawach nie jest wcale jakiemś „wprzęganiem się do niemieckiego rydwanu" — jak to głosili u nas mylnie ludzie, cierpiący widocznie na kompleks niższości wobec Niemca — ale przeciwnie: obciążeniem na naszą korzyść polityki niemieckiej i w znacznym stopniu sparaliżowaniem wszelkich ewentualnie wrogich przeciw Polsce zamiarów. Tembardziej, że jesteśmy nadto stanowczo zdania, iż z różnych względów wróg moskiewski jest dla nas niebezpieczniejszym od Niemców, przedewszystkiem ze względu na swe gangrenujące wpływy rozkładowe. Słowianizm rosyjski działa osłabiająco na wiele jeszcze umysłów w Polsce, podczas gdy

niebezpieczeństwo niemieckie skupiało nas zawsze w męskim odruchu obrony.

Ale stąd aż do oklaskiwania z entuzjazmem myśli marszu z Niemcami na Rosję jeszcze daleko — przynajmniej daleko było i jest w naszych pojęciach. Nie rozumiemy wogóle, jak prawdziwy, niepodległy polski umysł może w taki sposób stawiać sobie alternatywę, jak to stało się na wspomnianem zebraniu i wciąż pokutuje w polskich głowach „mocarstwowych": z Hitlerem na Rosję, czy ze Stalinem na Niemców? Bo przecież alternatywa ta, podniesiona na piedestał szekspirowskiego „być albo nie być", stanowi dziś najważniejszy przedmiot rozmów i myśli wszystkich naszych sfer, nawet tych, które wcale nie zajmują się polityką.

Zakładamy stanowczy protest przeciw samej zasadzie podchodzenia w ten sposób do zagadnienia roli i stanowiska Polski. Czyż istotnie jesteśmy państwem trzeciorzędnem, którego na nic więcej nie stać, jak tylko na uczepienie się za połę jednego z naszych walnych wrogów, aby przy jego pomocy zwalczyć drugiego? I jak małoduszna ta alternatywa ma się pogodzić z owym rozmachem kół mocarstwowości, o którym z emfazą prawią nam wciąż — każde na swój sposób — różne obozy i gazety?

Na podstawie tego, co codziennie z ust różnych ludzi słyszymy i co z dnia na dzień wyraźnie obserwujemy, stoją dotąd jeszcze w społeczeństwie polskiem naprzeciw siebie dwa sprzeczne kierunki, wprawdzie w szczegółach odpowiednio zmodernizowane, ale w istocie prolongujące dawne, przedwojenne, uparte, bezkrytyczne orjentacje, tak, jakgdyby dziś jeszcze wszyscy trzej monarchowie zaborczy siedzieli na tronach, a Polski niepodległej wcale nie było. Jedni bowiem, z prawdziwie manjackim uporem i pomijając kolosalne zmiany, zaszłe w Rosji i Czechach, pomijając także rzeczywistą rzeczywistość sprawy ukraińskiej, wciąż jeszcze bredzą, jak w malignie, o konieczności łączenia się Słowian dla walki z naporem germanizmu. Robią nam oni wrażenie ludzi, którzy przespali tysiąc lat ewolucji dziejowej. Nie przesadzajmy, bo tacy panowie, nieraz bardzo wykształceni ludzie, straszą nas dosłownie losem Lutyków i Obotrytów. W takich warunkach — zwłaszcza w braku odpowiednich Słowian, chętnych i zdolnych ruszyć z nami do boju — kończy się oczywiście wszelkie logiczne rozumowanie.

Drudzy, po stronie przeciwnej, są najbezsporniej pod wpływem niemiecko-totalistycznego szału. Podając się za jakichś,

iście mistycznch proroków Polski narodowo-mocarstwowej, głoszą — oczywiście pod stemplem Orła polskiego — ni mniej, ni więcej, jak poprostu konieczność „przebudowy Polski". Rywalizując ostro między sobą, chcą jednak w ostatecznym rezultacie — chcemy wierzyć, że tylko podświadomie — zbliżyć ustrój Polski do niemieckiego totalizmu. Chyba tylko albo z piekielnego strachu przed owym legendarnym pruskim kapralem, przystrojonym dziś dla odmiany w swastykę, albo dlatego, żeby ciągnące na bój z Rosją zastępy Hitlera znalazły na polskich ziemiach „swój kraj", t. j. państwo i naród mówiący wprawdzie innym językiem, ale ustrojem i kulturą w wysokim stopniu do wzorów niemieckich dostosowane! Zarzuci ktoś może, że przesadzamy, że zbyt sumarycznie interpretujemy obecne w Polsce prądy. Niestety, nie przesadzamy w niczem, sumujemy tylko fakta i kładziemy bez blagi kropki nad i.

Ekstyrpując więc objektywnym skalpelem czystą prawdę ze splotu patryjotniczej frazeologji obu rodzajów, stwierdzamy fakt, że w mentalności polskiego ogółu nic się zasadniczo nie zmieniło od czasów wielkiej wojny, gdzie istotnie mogły być rzeczowe powody do duchowej rozterki, po czyjej stronie ma się naród polski ostatecznie opowiedzieć Wprawdzie i wówczas istniała od samego początku trzecia, najprostsza ze wszystkich alternatywa, mająca największy walor realny na każdy wypadek: tworzenie jak najliczniejszego wojska polskiego na polskiej ziemi — a więc legionów — gdzie i jak się tylko da.

Otóż ostatni już czas, aby tę trzecią alternatywę obrać sobie za jedynie racjonalny drogowskaz, zrywając natomiast stanowczo ze wszystkiemi przedwojennemi orjentacjami i z naśladownictwem współczesnych obcych wzorów. Czyż, mimo szumnych frazesów i objawiającego się w hymnach i piosenkach muzykalnego patryjotyzmu, niemasz w polskim narodzie żadnej, prawdziwie samodzielnej myśli i pędu, ale wciąż tylko naśladownictwo obcych wzorów? Chorujemy raz po raz to na zagraniczny socjalizm, to na zagraniczny, w gruncie rzeczy przez masonerję lub wpływy bolszewickie narzucony radykalizm — oparty bezrozumnie na niszczącej zarazie nienawiści bliźniego — to na modny dzisiej nacjonalizm, to na jakiś totalistyczny kult państwa-molocha, czy narodu molocha, które mają pożreć jednostkę. Ależ to wszystko razem nie jest polskie, lecz prostem małpowaniem konceptów zagranicznych! Czyż Polska jest naprawdę — jak z gorzką ironją mówi poeta — tylko papugą narodów?!

Nie — mogą nas wszyscy ci płochliwi naśladowcy, którym widocznie brak rdzennie polskiego konceptu — przemilczać na śmierć lub wpływami swymi łamać nam pióro, ale to nic nie pomoże, bo my i tak znajdziemy zawsze środki i sposoby, aby „małpie naśladownictwo" (jak mówi Mickiewicz) ostro piętnować i nie poddać się żadnej cudzoziemskiej modzie. My trwamy zasadniczo przy idei jagiellońskiej, w całem i głębokiem tego słowa znaczeniu, dostosowując ją oczywiście tylko do realnych warunków nowoczesnych i przestrzegając w duchu Stańczyka przed powtarzaniem pewnych ówczesnych błędów. Jest to, rzetelnie mówiąc, jedyna, rdzennie polska idea, która na przestrzeni wieków zdała wspaniale egzamin i bez żadnych cudzoziemskich nowinek stworzyła Polskę mocarstwową, rozszerzając ogromnie nasze władztwo, bogactwo i kulturę. Dlaczego więc tam nie sięgnąć, zamiast małodusznie czepiać się chwilowych koncepcji różnych współczesnych proroków, którzy tandem tedy wyszli w początkowych swych założeniach wszyscy z doktryny Marksa?

Czyż i my w końcu znacjonalizowawszy i ztotalizowawszy naszą Ojczyznę, mamy ogłosić się po izraelsku za „naród wybrany" i albo uprawiać jakiś neopolski poganizm, albo wzorem junków pruskich stworzyć sobie polskiego Boga?!!!

Wszak, jak dotąd, wszystko do tego zmierza. Bez żadnej wątpliwości neopogańskim jest w swej najgłębszej istocie nowoczesny nacjonalizm polski, który — zdaniem naszem— stanowczo kraj nasz osłabia przedewszystkiem dlatego, że pomniejsza Polskę w sposób dotkliwy i paraliżuje zgóry wszelkie możliwości jej terytorjalnego rozwoju. Nie stworzymy bowiem polskiego imperjum z niewielką — jak na dziesiejsze warunki — liczbą dwudziestu kilku miljonów rdzennych Polaków, a natomiast odstręczymy od siebie wszelkie autochtoniczne mniejszości narodowe i pograniczne mniejsze narody, które, przy racjonalnem a konsekwentnem prowadzeniu polityki, wzorowanej mniejwięcej na tradycjach jagiellońskich, mogłyby wejść stopniowo w orbitę naszych wpływów, a potem i w bliższy z nami stosunek.

Z tej właśnie atmosfery, którą nie wahamy się nazwać „atmosferą bezradnego naśladownictwa", wynika w logicznej konsekwencji ów dylemat słabości: z Berlinem czy z Moskwą? Dla nas, z pod znaku Naszej Przyszłości, dylemat taki wogóle nie istnieje. My natomiast — choć świadomi jesteśmy w całej pełni całego rozmiaru olbrzymich zagadnień i niebezpieczeństw, które w tej chwili Polskę otaczają — uznajemy tylko odpowiedni,

śmiały, zdecydowany, z rodzimych idei płynący marsz Polski naprzód we wszystkich możliwych kierunkach, ze zręcznem wykorzystywaniem wszelkich okazji, a przedewszystkiem — i to najważniejsze ze wszystkiego! — z nieugiętem przygotowywaniem celów narodowych i państwowych na dłuższej fali. Tego ostatniego właśnie nie uznaje i nie cierpi filisterska, wąsko aktualistyczna mentalność ogółu naszych rodaków, nawet tych tak zwanych „wybitnych" ludzi ze sfer politycznych i gospodarczych. I właśnie dlatego wąska ta mentalność, o charakterze kawiarnianego realizmu bieżącej chwili, nie widzi przed sobą żadnej innej możliwości, żadnej innej kalkulacji, jak tylko tę, którą codziennie aż do znudzenia, słyszymy: osiemdziesiąt miljonów Niemców, stopięćdziesiąt miljonów Moskali, a wśród tego zaledwie dwadzieścia kilka miljonów Polaków, a więc — idźmy z Niemcami na Rosję lub łączmy się z bolszewikami (Słowianami) dla odparcia Niemców.

Piękne perspektywy i osobliwe sny o mocarstwowości czy o „Bogu i Ojczyźnie"! My w tem wszystkiem ani wiary w Boga, ani prawdziwej wiary w rozbudowę Polski mocarstwowej nie jesteśmy w stanie się dopatrzeć. Konstatujemy tylko tępe partyjnictwo, obce wzory (nb. kiepsko wykonywane) i podwórkowe horyzonty.

A przedewszystkiem frazesy, frazesy i jeszcze raz frazesy, które rozżarzają się odrazu w głupie kłótnie, gdziekolwiek się zetkną z sobą — jak na owej słynnej radzie w Dobrzyńskich zaścianku.

Zaprawdę — chciałoby się nieraz użyć jędrnych słów Maćka Dobrzyńskiego i wyrzucić wszystko za drzwi. Niech was potem jakiś hrabia lub warchoł Gerwazy na awantury prowadzi.

Tylko, że nam tak sumarycznie a wygodnie postąpić nie wolno, gdy chodzi o losy Ojczyzny. Naszym twardym, niemiłym, zgoła niepopularnym obowiązkiem publicystycznym w wysokim tego słowa znaczeniu — jest mówić prawdę w oczy rodakom, psychicznie jeszcze stosunkowo słabym po długim okresie niewoli i długim poprzednim okresie anarchicznego upadku. Prawią wszyscy o konieczności stworzenia czy powstania nowego typu Polaka, który dopiero dorośnie do swej roli. Bardzo słusznie. Właśnie o stworzenie tego nowego typu, istotnie niezbędnego, walczy „Nasza Przyszłość" od ośmiu lat, wskazując bezwzględnym tonem w setkach już artykułów, jak taki Polak winien samodzielnie i suwerennie myśleć we wszystkich dziedzinach, bez małodusznej obawy konsekwencji. To samo usiłuje

zastrzyknąć wszystkim sferom i partjom społeczeństwa Związek Polskiej Myśli Państwowej, który penetruje śmiało wszędzie, ale nikomu się nie sprzedaje, zajmując zawsze nadrzędne stanowisko i wnosząc wszędzie, gdzie go o zdanie poproszą, swoją oryginalną myśl i zdecydowany, dobrze przemyślany kierunek, dla którego nie istnieją wahania lub konjunktury.

Stąd też, powtarzamy, nie istnieje dla nas niższościowe zagadnienie: z Niemcami czy z Rosją? Nie istnieją dla nas jakieś germanizmy czy łzawe, fantastyczne słowianizmy. Przed nami stoi teraz tylko jedno pytanie: co Polska samodzielnie, sama z siebie, wymyśli i zrobi, aby ubiedz chytrych, na dłuższą metę planujących sąsiadów i jakie w tym celu stworzy fakta dokonane, które jedynie tylko zadecydować mogą o jej mocarstwowym sukcesie?

Wszystko inne, to tylko pobożne życzenia, słowa i eksperymenty, które mogą dać chwilowe zwycięstwo pewnej liście wyborczej, ale ani nie stworzą mocarstwowego typu Polaka, ani tem mniej Polski mocarstwowej.

Sekcja dla spraw zagranicznych

Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

Wojna naftowa a los Ukrainy

Kto miał jeszcze przed wojną światową styczność z przemysłem naftowym, ten wiedział dobrze, jakiego już wówczas, z roku na rok szybko rosnącego znaczenia gospodarczego, politycznego i militarnego, nabierała sprawa przetworów ropy ziemnej, zwłaszcza benzyny i cięższych olejów wszelkiego rodzaju. Już wówczas był to produkt, grający prawdziwie światową rolę w polityce i gospodarce międzynarodowej. Pamiętamy zaciętą walkę, jaką na całej kuli ziemskiej prowadziły ze sobą dwa największe koncerny naftowe — Standard Oil Co. i Koncern angielsko-holenderski.

Dzisiaj, wobec olbrzymich postępów motoryzacji cywilnej i wojskowej, wobec niezmiernego rozwoju automobilizmu, marynarki wojennej, żeglugi powietrznej i zmotoryzowanej broni pancernej, stała się nafta — śmiało rzec można — jednym z najważniejszych środków i warunków egzystencji państw, zwłaszcza państw o aspiracjach mocarstwowych. To też jednym z kardynalnych postulatów każdego państwa, które własnych, obfitych źródeł ropy naftowej nie posiada, jest zabezpieczenie sobie zawczasu jej dowozu, zwłaszcza na wypadek wojny.

Stany Zjednoczone, Rosja, Rumunia i Polska mają własne źródła nafty na miejscu. Anglja, Francja i niektóre inne kraje mogą ją sprowadzać sobie obficie z za morza. Ale istnieje w centrum Europy wielka potęga, licząca 80 miljonów ludności, kolosalnie uprzemysłowiona i wszechstronnie zmotoryzowana, która już w czasie pokoju potrzebuje olbrzymich ilości benzyny i innych produktów naftowych, a cóż dopiero w razie wojny. Nie trudno nawet laikowi w tej dziedzinie wyobrazić sobie, jakich to miljonów ton nafty potrzebować będą Niemcy, zmobilizowane do walki! Wszak największe nawet zapasy, magazynowane w czasach pokoju, zużyte zostaną w bardzo krótkim czasie, a wówczas staną w państwie nieprzeliczone motory transportowe i bojowe. Wprawdzie technika umie już i z węgla pewne namiastki

przetworów naftowych wytwarzać, ale nie wystarczy to na olbrzymie potrzeby dłuższej wojny. Własne zaś źródła naftowe Niemiec nie wchodzą nawet w rachubę.

Stąd więc, po osiągnięciu zjednoczenia wszystkich obszarów niemieckich w jednem, potężnem państwie, niemasz w tej chwili ważniejszego problemu dla tego kolosalnego, zbrojnego obozu niemieckiego, jak zapewnienie sobie odpowiednio wielkich dostaw nafty. Wprawdzie w czasie pokoju mogą ją Niemcy zewsząd sprowadzać, ale jak będzie w czasie możliwej blokady wojennej? Polityka niemiecka zdąża więc konsekwentnie do tak silnego położenia ręki na dostępnych jej, najbliższych lub stosunkowo najbliższych źródłach ropy, aby w danym razie mieć je stale do dyspozycji bez obawy odcięcia ich od Niemiec przez obcą blokadę.

A takie, dość potężne źródła naftowe, produkujące rocznie bądź co bądź po kilka miljonów ton nafty, a dostępne dla Niemców — według ich własnych przekonań — znajdują się przedewszystkiem w Rumunji. Niewiadomo, co o takich planach niemieckich Rumuni powiedzą i czy zgodzą się na rolę najpierw naftowych, a w konsekwencji i politycznych wasali Niemiec, ale to pewna, że Niemcy idą tam naprzód z podziwu godną planowością, która miwowolną zazdrość wywołać musi u tych wszystkich, którzy pragnęliby, aby i Polska z podobną konsekwencją większe swe problemy na dłuższej fali rozwiązywać umiała.

Rozpaciorkowały więc Niemcy długą kiszkę czechosłowacką na trzy słabe państewka, przez które przechodzić ma aż do granic Rumunji (a może i dalej?) wspaniała autostrada i rurociąg naftowy przez setki kilometrów. Rozmach na amerykańską skalę. A po drodze wielka ta linia niby tylko „handlowej" ekspansji niemieckiej przejść ma przez Ruś Zakarpacką (pardon — już zakarpacką „Ukrainę"!), odcinając nas od Węgier. Stąd unicestwia się także i postulat wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

Nawiasem mówiąc, słyszeliśmy niedawno skargi, że wskutek zbyt wyraźnego wskazywania przez prasę polską na ten podkarpacki rozmach niemiecki, a zwłaszcza na konieczność przecięcia wspólną granicą polsko-węgierską tej niemieckiej ekspansji, źle się zrobiło, gdyż zaostrzyło się przez to apetyty Niemców i różnych sfer ukraińskich. Naszem zdaniem zarzut ten zupełnie niesłuszny, gdyż rozmach niemiecki i apetyty ukraińskie i tak poszłyby naprzód, bez względu na to, czyby prasa polska

z przesadną kurtuazją i zbyt subtelnie wyśrubowaną dyplomatyką miała to wszystko przemilczeć. Sądzimy stanowczo, że przynajmniej prywatne sfery polskiego społeczeństwa powinny jaknajwiększy krzyk podnieść wobec świata i protest przeciw „okrążaniu Polski przez Niemcy“, a krzyk ten winien być tem głośniejszy, im bardziej przyjazne stosunki łączyłyby nas z Niemcami. Nie jesteśmy w stanie pojąć sugerowanej nam przez tego lub owego „defenzywnej“ taktyki milczenia. Niech wie cały świat, od Ameryki do Japonji, że zaledwie ustało groźne dla nas fortyfikowanie obszarów zakarpackich przez Sowiety, rozpoczyna się tam — w innej początkowo formie — inwazja niemiecka na linji Berlin — Morze Czarne.

Czyż należy milczeć o tem z jakichś przesubtelnionych powodów i z założonemi rękoma patrzeć biernie na to, co się dzieje?

Ale ta linja niemieckiej ekspansji wgłąb Rumunji i nad Morze Czarne — mówi się już głośno o delcie Dunaju — to dopiero pierwszy, najbliższy etap. Już ten etap wyda się może niejednemu z polskich czytelników zbyt wielki, zbyt „fantastyczny“, gdyż psychika polska z prastarych czasów upadku nie umie jeszcze wogóle myśleć wielkiemi kategorjami i odzyskanie każdej małej wioski karpackiej od Czechów czy Słowaków wita z entuzjastycznem rozczuleniem, ciesząc się dziecinnie, że „dziarscy górale“ (n. b. poprzedzani przez wojsko) wyrwali gdzieś słup graniczny i przenieśli go w tryumfie o tysiąc kroków dalej. Zapewne, dobre i to, ale my, wykształceni aż nadto na dziejach niezdarności przodków naszych, o których bez świętego oburzenia nie jesteśmy w stanie czytać i myśleć, pragnęlibyśmy, aby Polska wśród obecnego ruchu granic w środkowej Europie na większą skalę robiła interesy.

Otóż należy podać wyraźnie do wiadomości polskiego — a w tym wypadku specjalnie także ukraińskiego ogółu — że w planie niemieckim nie leży bynajmniej tylko ograniczenie teutońskiego rozmachu do naftowych źródeł rumuńskich i do jakiegoś punktu „handlowego“ na wybrzeżu Morza Czarnego. To dopiero pierwszy etap daleko gigantyczniejszego planu, który ma potęgę Niemiec znacznie dalej na wschód posunąć i zapewnić im olbrzymi rozwój imperjalny na bogatych pod każdym względem obszarach.

A wiemy, że Niemcy potrafią z żelazną konsekwencją przeprowadzać na dłuższej fali swój program, o ile im jakaś przemożna siła w tem nie przeszkodzi. To tylko nam, Polakom, niepoprawnym krótkoterminowcom i aktualistom, wydaje się każdy

większy plan fantazją, nierealną „muzyką przyszłości", do której każdy „trzeźwo myślący" polski polityk lub człowiek gospodarczy z odpowiedniem lekceważeniem się odnosi. Niemcy i wogóle narody o prawdziwie mocarstwowem nastawieniu myślą i działają inaczej.

Otóż nie prawimy tu żadnych bajek, oznajmiając, że po zdobyciu różnemi drogami punktu oparcia nad Morzem Czarnem rozpocząć się ma potężna niemiecka kolonizacja między ujściem Dunaju a Dniepru wzdłuż wybrzeża, zajmując tamtejsze porty i dolne biegi rzek i w ten sposób chwytając Ukrainę za gardło. To dzieło już się rozpoczęło, już istnieją w okolicach n. p. Akermanu kolonje niemieckie. Przewidziane jest stopniowe przesiedlenie dziesięciu miljonów kolonistów niemieckich wzdłuż północnego wybrzeża Morza Czarnego — aż do Kaukazu i do Baku. Nadwołżańskie kolonje niemieckie, już oddawna istniejące, odegrają w tem oczywiście także odpowiednią rolę.

Jak widzimy — plan jasny, prosty, oparty na pewnych, już częściowo istniejących podstawach, a ułatwiony tem, że ze wszystkich możliwych kierunków ekspansji wybrali tu Niemcy linję stosunkowo najmniejszego oporu. Bo istotnie, linja ta idzie przez słabą Słowacji i śmieszny, maleńki twór obecnej Rusi Zakarpackiej, dalej przez Rumunję (która przed wojną była już w bardzo znacznym stopniu przez kapitał niemiecki podbita), a potem wzdłuż morskich wybrzeży, gdzie Niemcom oczywiście daleko łatwiej przyjdzie osiąść i utrzymać swój stan posiadania, niż gdyby się zapuszczali gdzieś w głąb olbrzymiego obszaru Rosji.

Ale przy realizacji tego planu, bardzo sprytnie a realnie obmyślanego, najgorzej wyjdą wszelkie aspiracje i marzenia ukraińskie. Gdy bowiem ziemie ukraińskie odcięte zostaną od morza i wskutek tego kontrolę nad ich produkcją dostaną w rękę Niemcy, to w razie — bardzo możliwego — osłabienia Rosji przez jakiekolwiek wypadki cała zakordonowa Ukraina stanie się poprostu kolonją niemiecką, a jej mieszkańcy białymi murzynami, eksploatowanymi niemiłosiernie przez Niemców.

I tu zdumiewać musi karygodne — nawet z ich własnego punktu widzenia — zaślepienie różnych sfer ukraińskich, które, ziejąc bezrozumną, prawdziwie hajdamacką nienawiścią do Polski, usiłują wyjść tryumfalnie na spotkanie teutońskiej nawały i grzebać grób swym nadziejom narodowym.

Bo jakiż z tej postawy Ukraińców wyniknąć musi rezultat? Oczywiście ten tylko, że z jednej strony dostaną się Ukraińcy pod buty Niemców, którzy wówczas bez ceremonji postąpią

z „niżej wartościowymi tubylcami Hadenlandu“ — z drugiej zaś Polska będzie zmuszona zbliżyć się do Moskwy, mimo wszelkiego wstrętu do komunizmu i do stosunków rosyjskich wogóle.

Wszak to już się dzieje, a dziać się musi głównie wskutek niezrozumiałego ukraińskiego zaślepienia. Zdaniem naszem lekkie zbliżenie się Warszawy do Moskwy, jakie nastąpiło od niedawna, zwrócone jest nie przeciw Niemcom, wobec których gest taki miałby chyba niewielkie znaczenie, ile przedewszystkiem przeciw hajdamaczyźnie ukraińskiej. Nic w tem dla nas nowego. Wszak ostrzegaliśmy na łamach tego pisma już dawno Ukraińców, że nieprzytomną swą polityką zmuszą nas do zbliżenia z Rosją. A naród ruski pod wpływem bojowego ukrainizmu dość się chyba już nacierpiał, a częściowo i wyniszczył pod panowaniem Rosji i sam dość chyba już popełnił zbrodni i bezużytecznego krwi rozlewu, aby nareszcie przyjść raz do rozumu i wyjść na drogę jakiejś objektywnej, logicznej polityki!

O co chodzi w tej chwili naszym Ukraińcom, a raczej — jak ich słusznie nazwać należy — ukrainizatorom? Czy o ukrainizację połowy naszego państwa od Dunajca pod Dźwinę i wymuszenie na Polakach autonomizacji tych obszarów jako niby „rdzennie ukraińskich“? Bajka — to nigdy nie nastąpi, mimo zadziwiających haseł ukraińskich, jakoby nawet Wilno było ukraińskiem miastem. Czy chodzi im o rozszerzenie swych wpływów na Ruś Zakarpacką przy pomocy Niemców, aby została potem wcielona do owego autonomicznego państwa „od Dunajca pod Dźwinę“? Również bajka, bo na to ani Polska, ani Niemcy, ani Węgry się nie zgodzą. Czy może inne jeszcze jakie istnieją zamiary? Nie wiemy, ale tak nam się wydaje, że Ukraińcy teraz już stanowczo w piętkę gonią. A najprawdziwszym, ostatecznym rezultatem tej ich polityki może być tylko stopniowe strawienie i zniszczenie wszystkiego, co ruskoukraińskie, przez napór różnych mocy, które albo z konieczności własnej obrony, albo dla swych celów ekspansywnych natrą na ukrainizm ze wszech stron jeszcze całkiem inaczej, niż to się dotąd działo.

Tak więc rozpoczyna się ciekawy, a zapewne i brzemienny w doniosłe następstwa okres niemieckiej wojny o naftę, która zdaje się jednak zmieniać dawny kierunek do Bagdadu na kierunek do Baku. Zresztą jedno nie wyklucza całkowicie drugiego. A na drodze tej walki może rozstrzygnąć się los Ukrainy. A to znowu zależeć będzie w bardzo znacznym stopniu od samych Rusinów. Rzecz jasna, że jak sobie pościelą, tak się wyśpią. Niech tylko nie sądzą ani na chwilę, że przywiązujemy jakiekolwiek na

serjo znaczenie do chwilowych polsko-ukraińskich kompromisów wyborczych lub do kompromisów międzyposelskich na terenie Sejmu. Mandat poselski trwa krótko, a po wygaśnięciu nikogo do niczego nie zobowiązuje. Tu chodzi o rzecz znacznie głębszą, trwałą politycznie, uczciwie, z przekonania płynącą.

Jest wprawdzie wielu wybitnych Polaków, fachowych znawców sprawy ukraińskiej, którzy doszli już z winy Ukraińców do tak skrajnego pesymizmu, że wręcz przeczą jakoby podniesienie Rusina do poziomu narodu prawdziwie państwowo-twórczego było wogóle możliwem i dla Polski korzystnem. Może mają i rację. My, z pod znaku „Naszej Przyszłości" nie straciliśmy jeszcze nadziei i trwamy jeszcze przy z dawna sformułowanej tezie, że powstanie politycznie dojrzałej Ukrainy leży także i w interesie polskiej racji stanu. Ale niezbędny warunek do odzyskania przez Rusinów jakiejkolwiek zdolności państwowotwórczej stanowi przetworzenie się przez nich samych w typ „historycznego Rusina" przy stanowczem odrzuceniu wszelkich bandyckich, krwawych ideałów kozacko-hajdamackich. Kozaczyzna moralnie przegrała, poddała się Moskwie i stała się jej najgorszym od trzystu lat siepaczem. To fakt, którego żadne poetyckie idealizowanie hajdamaczyzny nie wymaże, choćby nawet najzdolniejsi brali się do tego poeci. Ruś co innego, a Sicz całkiem coś innego, na co Polacy i spokojni Rusini mają od wieków nadto dotkliwe dowody.

To też nie Rusin wzywa obecnie Niemców na pomoc, nie on pokłada w nich jakieś rachuby czy nadzieje, ale siczowy hajdamaka, choćby spacerujący dziś w wytwornej marynarce po ulicy Legjonów we Lwowie, lub nadużywający swych duchownych wpływów do niecnego dzieła ze wzgórza św. Jura.

Nie tracimy jeszcze nadziei, że nowoczesna cywilizacja i kultura przezwycięży w Ukraińcach, wychowanych na tradycjach siczowych, karygodną słabość i anarchję wzywania wciąż „obcych potencji" przeciw Polsce. Wszak powinni już dobrze wiedzieć, na czem taka taktyka się kończy. Sedno ukraińskiej sprawy leży w strachu przed wyższą polską kulturą. Ale czyż właściwym puklerzem przeciw tej polskiej kulturze — gdyby nawet miała supremacyjne wobec Rusinów zamiary — jest rzucanie się w objęcia obcym mocom, dla których los i egzystencja narodu ruskiego są zupełnie obojętne i którym sprawa ukraińska służy wyłącznie tylko do pewnych zaszachowań i rozgrywek? Nie tracimy nadzieji, że powstanie w narodzie ruskim — ale nie w kompromisowych na krótką metę kołach poselskich — skutecz-

ny ruch gruntownego rewizjonizmu, mniej więcej taki, jaki przeszło, choć w nieco innym sensie, społeczeństwo polskie w drugiej połowie ubiegłego i z początkiem bieżącego stulecia.

Wiemy, że większa część społeczeństwa ruskiego, w granicach naszych zamieszkała, starzy i młodzi, chcą nazywać się Ukraińcami. Twierdzi się, że to już sprawa przesądzona i że nic przeciw niej nie pomoże. Jesteśmy innego zdania. Wszelkie reformy, których głębsza użyteczność zostanie uznana, dadzą się przeprowadzić. Nazwa Ukrainiec nie jest, realnie biorąc, żadnym puklerzem, ani żadnym czynnikiem twórczym dla narodu ruskiego, a natomiast wnosi ze sobą fatalną tradycję i mentalność Siczy, paraliżującą w społeczeństwie ruskiem zgóry wszelką zdolność państwowo-twórczą i stawiającą je w atawistycznej opozycji przeciw całemu światu. Wiemy, że z tego powodu biją w nas wszelkie odłamy prasy ukraińskiej. Nie zastanowi się ta prasa ani na sekundę nad pozornie paradoksalnym, ale w istocie prawdziwym faktem, że przez takie postawienie sprawy ruskiej, jak my to czynimy, przez żądanie odruchu rewizjonistycznego w upadłem ruskiem społeczeństwie, oddajemy mu może największą przysługę. Wszak nieraz słyszymy gorzki zarzut z polskiej strony: „Dlaczego „Nasza Przyszłość“ chce koniecznie podnosić, wzmacniać i konsolidować Rusinów, dlaczego poddaje im drogę do stania się narodem państwowo-twórczym, kiedy to wszystko przecież nie leży w interesie Polski? Przeciwnie, w naszym interesie leży, aby Rusini — niechże się nazywają Ukraińcami — byli poprostu anarchicznym szczepem, zacofanym w tradycjach zarówno bizantyjskich, jak i siczowych, i przez to niezdolnym do wyższego narodowego bytu, poprostu atutem rozgrywkowym między nami a Rosją?“

Nie — my się z tem nie zgadzamy. W imię instynktu samozachowawczego polskiego i ruskiego dążymy zdecydowanie po linji stworzenia „zespołu mocarstwowego o troistym herbie“.

A w tym zespole pragniemy dla Rusinów odpowiedniej roli współtwórcy.

Zdawałoby się więc, że przynajmniej ci Rusini, do których głos nas dochodzi, zrozumieli już dawno nasze właściwe intencje, najkorzystniejsze i najprzyjaźniejsze dla odrodzenia narodu ruskiego. Przecież każdy, kto uważnie czyta „Naszą Przyszłość“ i uczciwie ją interpretuje, musi to przyznać. A jednak jest inaczej.

Dlaczego? Zaczynamy i my również dochodzić do przekonania, że dlatego, bo — społeczeństwem ruskiem zawładnęły w wyższym stopniu, niż to powszechnie wiadomo, obce agentury,

które wszelkim sposobem starają się niezgodę polsko-ruską pogłębiać dla interesów postronnych.

Oby i nam wreszcie, którzy pod sztandarem „Naszej Przyszłości" staramy się od lat o podniesienie sprawy ruskiej na wyższy poziom, nie dbając na kamienie, ze wszech stron na nas miotane, nie zabrakło cierpliwości! Faktem jest, że naród ruski pod wpływem zaciekłego, nieprzytomnego ukrainizmu w fatalną wpadł sytuację z każdego punktu widzenia. Grozi mu — wbrew nadziejom różnych jego sfer politycznych — niemiłosierne zasznurowanie ze wszech stron i stopniowa zagłada, której żadne chwilowe, sprytne kompromisy międzyposelskie czy inne nie odwrócą. Bo ratunek z tej sytuacji stanowczo nie wiedzie drogami i metodami chmielnicczyzny.

Nie wiemy, czy Rusini zdają sobie dostatecznie z tego wszystkiego sprawę, a jeżeli sobie zdają, to znów nie pojmujemy, że nie chcą zawrócić energicznie i uczciwie z błędnej, samobójczej drogi. To jedno nie ulega w każdym razie wątpliwości — iż żaden naród od niepamiętnych czasów nie znajdował się w tak strasznem niebezpieczeństwie, w jakiem ugrzęzło obecnie społeczeństwo ruskie pod wpływem tępo-upartych, nieodpowiedzialnych prądów siczowo-hajdamackich.

Józef St. Czarnecki.

Współczesna tragedja Polaka

W ścisłym związku z poprzednim, wstępnym artykułem Sekcji dla spraw zagranicznych, do której mam zaszczyt należeć, staje mi przed oczyma coraz wyraźniej z dniem każdym prawdziwa tragedja, jaka w bieżącej dobie rozdziera serca i umysł każdego Polaka-patrjoty, a przedewszystkiem katolika. Już widać losy to sprawiły, że eksponowany nasz naród wpędzany bywa raz po raz w groźny impas, z którego z wielkim tylko trudem i z nakładem nadzwyczajnej rozwagi może się wydobywać i właściwą wyszukiwać sobie drogę.

W takim impasie wyboru drogi znaleźliśmy się w czasie wojny światowej, która z natury rzeczy podzieliła naród nasz na różne orjentacje — wszystkie całkiem niepewne co do wyniku, a przez to hazardowne. Obecnie nastała znowu ciężka sytuacja, z której wyjście dlatego trudne jest i tragiczne, bo wydaje się, jakobyśmy byli zmuszeni wypędzać czarta belzebubem.

Z jednej bowiem strony mamy na świecie naturalnych niby sprzymierzeńców w postaci „zwycięskiej w wojnie światowej demokracji", którą reprezentuje w pierwszym rzędzie Francja, dalej Anglja i Stany Zjednoczone (o ile ten daleki kraj wchodzi dla nas wogóle w rachubę). Tak, ale ta demokracja przeładowana jest wszelkiemi obcemi agenturami, stoi mniej lub więcej pod wpływem żydomasonerji, a sojusz z nią pcha nas w objęcia czerwonej Rosji. Trzymając się więc tej linji, bylibyśmy zmuszeni zejść do roli pomostu między Paryżem a Moskwą i poddać się rozkładowemu wpływowi wszelkich złych mocy. A moce te kierują ostatecznie swe ostrze na zgubę Watykanu i tem samem na zniszczenie katolicyzmu i moralne osłabienie Polski, za czem poszłoby w nieuchronnej konsekwencji także jej polityczne osłabienie i poprostu zbolszewizowanie. Integralna bowiem demokracja wyraziła by się u nas w dzisiejszych warunkach nie czemś innem, jak przedewszystkiem utworzeniem folksfrontu ze wszystkiemi jego następstwami.

Do tego żadną miarą, dopuścić nie możemy, bo wówczas straciłaby Polska swą najgłębszą, moralno-historyczną rację bytu i stałaby się, praktycznie biorąc, wasalem nietyle zachodniej masonerji i francuskiego, ateistycznego radykalizmu, ile w pierwszym rzędzie wasalem czerwonej Moskwy i komunizmu.

Z drugiej zaś strony — jako bardzo gorzkie i niestrawne dla nas antydotum przeciw tym mocom rozkładowym wzrasta potęga niemiecka. Ale, choć dobre stosunki z tem państwem są nam oczywiście bardzo pożądane, to jednak niemieckie to antydotum przeciw rozkładowym mocom ze wschodu i zachodu jest zarówno groźne swym nienasyconym Drangiem nach Osten — który już dokoła granic naszych się odbywa — jak i niestety faktem, że nowoczesny duch niemiecki jest...... także rozkładowym. Niesie bowiem ze sobą szaleńczą, niezrozumiałą w dwudziestym wieku doktrynę neopogaństwa, godzącą również w Kościół i w moralną rację stanu Polski.

A więc z obu stron bojowy, brutalny, cyniczny ateizm, jeden drugiemu wprawdzie wrogi, ale dla nas równie niebezpieczny.

W ostatnich czasach niemieckość zyskała w oczach wielu Polaków moc atrakcyjną, jako właśnie puklerz przeciw różnym mocom rozkładu i wywrotu. Zyskała nawet wielki wpływ na psychikę polską, bo żadnej nie ulega wątpliwości, że współczesny, powszechny rozwój nacjonalizmu i antysemityzmu w Polsce jest w korzeniach swych niemieckiego pochodzenia, choć odnośne partje i ruchy krajowe usiłują temu zaprzeczyć. Ale niemieckość obecna przedstawia także i wybitnie ruch bezbożniczy, który różni się od bolszewickiego czy masońskiego właściwie tylko inną formą, ale nie ostatecznym celem.

Moskwa to dzicz, Niemcy to kultura, ale jedno i drugie walczy przedewszystkiem z Bogiem, ostatnio nawet Niemcy więcej i głośniej, niż Rosja.

Otoczona więc zewsząd antyreligijnemi mocarstwami Polska zagrożona jest przez to w swej racji stanu i bytu, gdyż bezsporną jest prawdą, że polski partjotyzm jest możliwy i trwały tylko w oparciu o Wiarę. Kto sądzi, że mocarstwowść Polski da się osiągnąć i utrzymać samemi tylko materjalnymi czynnikami i bezwyznaniowym patryjotyzmem, ten jest w grubym błędzie i poprostu nie zna polskiego narodu.

Nie jest więc świat niemiecki — a ściśle biorąc hitlerowski — żadnem dla nas moralno-politycznem oparciem. Prawda, że zwalcza bolszewizm i poczęści także żydomasonerję (tylko częściowo!), ale cóż z tego, kiedy robi w istocie to samo, co bez-

bożnictwo bolszewickie! A robi to nawet z większą precyzją, planowością i dyscypliną, jakie charakteryzują Niemców we wszystkich poczynaniach.

Zachodzi nawet przez to bardzo poważna obawa, czy nasz obecny nacjonalizm, który coraz więcej ogarnia niemal już wszystkie sfery społeczeństwa, nie przekroczy wnet dopuszczalnych granic Chrystjanizmu i nie zamieni się pod wpływem wiejącego z Niemiec pogaństwa na doktrynę nienawiści bliźniego, odbierając temsamem naszym uczuciom narodowym waloru prawdziwego, moralnie zdrowego patryjotyzmu? Czy nie przerośnie stopniowo w totalizm, a więc w doktrynę niewoli społecznej, w której państwo jest wszystkiem, a jednostka niczem więcej, jak tylko zmechanizowanym robotem? Odnosi się na razie już nawet wrażenie, jakgdyby na to się zanosiło. Ułatwia to z boku antysemityzm, doprowadzony przez Niemców do najbrutalniejszego gwałtu i zniszczenia. Ludzkość uczy się, że nawet w czasach pokojowych, w cywilizowanej Europie, można (czy nawet wolno?) rozbijać, palić, mordować w dzień biały, publicznie, masowo, na ulicach wielkich miast.

A na takich metodach, popartych nie jakimś rewolucyjnym wybuchem, lecz wszechstronnie, szczegółowo rozwiniętą i opracowaną doktryną patrjotyczną, narodową, rośnie hipernacjonalizm niemiecki, imponując potęgą, żelazną dyscypliną i mocarstwowym rozwojem. Wcielenie bismarkowskiej idei, ale takie, o jakiem Bismarckowi nawet się nie śniło. Każde dziecko uczy się, jakiemi to metodami rośnie i jak szeroko ekspanduje potęga Niemiec, tak niedawno jeszcze przygniecionych traktatem wersalskim i nadzorem Ligi Narodów. A to imponuje i sprowadza w młodych pokoleniach szlachetny patryjotyzm polski na całkiem fałszywe tory. Jeszcze chwilowo głównem hasłem i żerem dla tak wykrzywionych uczuć jest antysemityzm. Ale co będzie dalej? Widzimy w Polsce, że wraz z ekspansją nacjonalizmu i bojowego antysemityzmu coraz głośniej i powszechniej brzmią hasła katolickie, nawet tam, gdzie panował dotąd indyferentyzm religijny, a nawet niechętne ustosunkowanie się do Kościoła. Tak, ale czy to szczere? Czy w wielu wypadkach może raczej tylko odruchowe, hasełkowe stawianie krzyża tam, skąd się pędzić chce Żydów, ale bez prawdziwej wiary w niego. Bo jakoś dziwnem nam się to wydaje, żeby katolicyzm prawdziwy rozszerzał się hałaśliwie, na skrzydłach antychrześcijańskiej nienawiści bliźniego.

Nikt nam nie wytłomaczy, że nauka Chrystusowa może być apostołowana przy wpływach pogańskich i pod hasłem „bij żyda"!

Dostrzegamy natomiast w tem wszystkiem coraz większy w istocie radykalizm, żądania „gruntownej" przebudowy społeczno-gospodarczej państw, groźbę dyktatury „świata pracy, i wszelakie koncepcje zakuwania w pęty własności prywatnej, produkcji i ludzkiego indywidualizmu wogóle.

W ostatecznym więc rezultacie to wszystko, co nazywa się dzisiej w Europie prawicą — w hipernacjonalistycznem tego słowa znaczeniu — nie różni się dla nas, Polaków i katolików, właściwie niczem od lewicowego folksfrontu. Tu i tam grozi nam w gruncie rzeczy to samo: zniszczenie religji, jednostki i Ojczyzny. Należy się tylko dobrze w to wmyśleć, bez uprzedzeń osądzać, a powyższa prawda musi dla każdego wyjść na wierzch.

Uprzytomnijmy sobie nadto stałą, powojenną taktykę ekspandujących imperjalizmów: przed bezpośrednią agresją żenią one przed sobą różne fale trujące, zabarwione nieraz w tęczowe blaski, które fascynują wrażliwe na hasła rzesze w sąsiednich państwach czy narodach, dostosowując się z reguły do różnych konjunktur i wymagań chwili w danem społeczeństwie. Wszak przelewały się nad nami i pod nami przez lata całe fale bolszewizmu, roznoszone podmuchem przerostu demokratycznej swobody. Obecnie przewala się przez Polskę fala wprost przeciwna: przerostu nacjonalizmu za podmuchem neopogaństwa. Ale jasnem jest dla zdrowo myślącego człowieka, że jedno i drugie z tego samego pochodzi praźródła i te same ma cele antyreligijne i antyczłowiecze. Jakie państwo, jaki naród jest w danym okresie do tej misji „wybranym", jaki jest roznosicielem tej zarazy, to już rzecz właściwie drugorzędna. Cel główny natomiast leży w tem, aby uznająca Boga ludzkość, myśląca samodzielnie, kategorjami indywidualistycznemi, dostała się w niewolę najpierw duchową, potem stopniowo i polityczną i była absolutnie rządzoną przez... kogo...?

Na to walne i decydujące pytanie niech każdy czytelnik w myśl wyżej przytoczonych argumentów sam sobie odpowie! Nie trzeba tylko dać się zmylić bardzo skomplikowanemu a zwodnemu aparatowi współczesnego międzynarodowego kalejdoskopu.

I na tem tle nabiera dopiero położenie narodu polskiego tragicznego naświetlenia. Co wybrać z dwojga złego, na czyją stro-

nę dyplomatycznie się skłonić, jaką drogę znaleść między Scyllą a Charybdą w niemal dosłownem tych pojęć znaczeniu?

Odpowiedź całkiem prosta i jasna: na żadną stronę nie wolno nam się nawet myślą przychylić. Dyplomatycznie możemy robić różne pociągnięcia, zgodne z bieżącym interesem państwa. To rzecz inna. Ale z lewej i prawej strony musimy sami sobie silne wędzidła nałożyć, aby nasza historyczna pohopność, skłonność do haseł i entuzjazmów, nie pogalopowała na manowce.

Tak, jak nasze od wieków wrodzone poczucie demokratyczne, które buntuje się zawsze przeciw absolutum dominium, nie potrzebuje żadnych socjalizmów i innych radykalizmów do sprawiedliwego rozwiązania zagadnień społecznych, tak patrjotyzm nasz nie potrzebuje żadnych hipernacjonalizmów dla podniecenia. Mocarny, pewny siebie naród nie potrzebuje importu żadnych zagranicznych zastrzyków dla sztucznego podniecania swych uczuć. Czyż bolszewizm lub zrodzony również zagranicą socjalizm mają nas uczyć, jak być demokratą? Czyż neopoganizm i do absurdu doprowadzony nacjonalizm niemiecki mają uczyć nas patrjotyzmu i załatwiania spraw narodowościowych? Czyż naród polski ma być czeredą niewolników pod absolutną władzą jakiegoś totalizmu? Bardzo smutne w takim razie wystawilibyśmy sobie świadectwo.

My żadnych nowomodnych ersatzów zagranicznych dla naszej psychiki, naszej myśli narodowej i państwowej absolutnie nie potrzebujemy. Żadne modne potęgi cudzych koncepcji niech nam nie imponują. Nie dajmy się porwać hasłu, że „dzisiej nacjonalizm opanował świat cały". Być może, że opanował te narody i nawet w nich przeholował, którym był do moralnego, czy nawet materjalno-politycznego odrodzenia lub agresywnej ekspansji potrzebny. Głębiej rzecz badając, nietrudno stwierdzić, że zastąpił on w tych państwach religję. Bo wiadomo, że od nacjonalizmu do narodowego kościoła, a stąd do ateizmu jest tylko krok lub dwa.

A my, Polacy, przecież nowej religji nie potrzebujemy. Czujemy i wiemy dobrze, że katolicyzm był i jest naszą główną racją stanu. Bez symbolu Jasnej Góry trudno wyobrazić sobie Polskę, a zwłaszcza zwycięską Polskę! I ta Wiara dyktuje nam aż nadto wyraźnie tę złotą linję prawdziwego patrjotyzmu, której trzymać się mamy bez przesad i skoków na prawo lub lewo. Ta Wiara przypomina nam również codzień naszą bynajmniej jeszcze niewygasłą misję Przedmurza Chrześcijaństwa i prawdziwie chrześcijańskiej cywilizacji. A ktoby miał jakąkolwiek

wątpliwość, gdzie tej prawdziwej cywilizacji dzisiej niema, niech weźmie do ręki pierwszą lepszą, nawet naukową książkę rosyjską lub niemiecką, a przekona się, jak pod wpływem doktryn totalistycznych, mongolskich czy germańskich, ale wspólne mających korzenie, zanika chrześcijańska cywilizacja i etyka.

W szlachetnem więc i silnem poczuciu tej misji Przedmurza — dziś na dwa fronty — otrząsnąć musimy się stanowczo z narkozy wszelkich złych i przesadnych wpływów obcych, choćby nam się niektóre z nich użyteczne i modne wydały, a natomiast twardym, zdecydowanym krokiem iść w przyszłość pod sztandarem rdzennie polskich tradycji i wskazań, nie bojąc się uderzyć niekiedy silnie tam, gdzie wymaga tego żywotny interes narodu i państwa. Nie bojąc się zwłaszcza nadmiernie i sztucznie, na przewrotnych doktrynach, wybujałych kolosów, bo historja świadczy wymownie, że takie to kolosy, mimo pozornej potęgi, na glinianych zawsze spoczywają nogach. I jeżeli mogą być groźne, to tylko wskutek naszej własnej niezdarności, bierności i bojaźliwego naśladownictwa.

Powiedzmy sobie bez reklamowej pychy, ale z głębi przekonania: My, Polacy, boimy się Boga, ale zresztą nikogo na świecie!

I to spokojne, władcze przeświadczenie podyktuje nam także słuszną linję postępowania w każdym wypadku.

Jan Bobrzyński.

Prawda gospodarcza

Pod żadnym warunkiem nie chcielibyśmy w niczem przeszkadzać miarodajnym czynnikom państwowym w budowie i podtrzymaniu publicznego budżetu, nawet, jeżeli nakłada na ogół społeczeństwa — a wśród niego i na świat pracy w szerokiem tego słowa znaczeniu — znaczne ciężary w imię istotnie niezbędnych konieczności państwowych. Rozumiemy doskonale, jak trudnem jest utrzymanie w dzisiejszych czasach realnej równowagi budżetu, jak wielkich sum wymaga uzbrojenie i także to, że dla podniety życia gospodarczego w całym szeregu niezbędnych, racjonalnych i z należytą konsekwencją prowadzonych przedsięwzięć potrzebne są pewne większe, skoncentrowane kapitały, bez których nic większego niepodobna wykonać. A ponieważ brak u nas takich większych, skoncentrowanych kapitałów prywatnych, więc ich rolę w wielu wypadkach musi objąć kapitał państwowy, uzupełniany wciąż odpowiednimi wpływami z podatków. Są to wszystko rzeczy dla nas jasne, zwłaszcza z punktu widzenia ogólnej pretensji narodu polskiego do mocarstwowości. Kto chce mieć Ojczyznę mocarstwową, ten musi na nią odpowiednio łożyć, gdyż bez pieniędzy państwa mocarstwowego zbudować niepodobna.

Tak — ale wolno i trzeba spojrzeć i na odwrotną stronę medalu.

Długie, codzienne doświadczenie minionych kilkunastu lat ostatnich — t. j. od chwili stabilizacji waluty i oparcia na niej wymiaru świadczeń publicznych — wykazuje dowodnie, że społeczeństwo nasze podzielone zostało na dwie, ostro między sobą różniące się kategorie: urzędników i przedsiębiorców. Jest to podział istotny, prawdziwy. Mniej bowiem prawdziwym jest sztucznie, dowolnie i często całkiem błędnie robiony podział na wogóle zamożnych i niezamożnych, tych ostatnich mianowanych demagogicznie „światem pracy".

Jest w tym drugim systemie podziału dlatego fałsz i demagogja, ponieważ ci zamożniejsi — za wyjątkiem dziś już nielicznej sfery — są w rzeczywistości tylko bardzo względnie zamożni i albo równie ciężko, jak reszta, pracują, albo nawet i więcej, z większą odpowiedzialnością, z większem wyczerpaniem nerwów i szkodą dla zdrowia. Ich zamożność jest bardzo często tylko pozorna, przytłoczona ciężarem długów i zobowiązań wszelkiego rodzaju i polega właściwie tylko na wyższej kulturze, która nawet w biedzie potrafi otaczać się pewnemi zewnętrznemi formami dobrobytu, jak staranniej noszone ubranie, czyściej utrzymane ciało, lepiej urządzone mieszkanie, choćby jednopokojowe, zbiór książek i t. p. Tymczasem człowiek o niższej kulturze, nawet przy większym stanie posiadania i dochodach, nie umie w podobny sposób zużytkować swoich pieniędzy i żyje w prymitywiźmie, bo nie czuje żadnych wyższych potrzeb cywilizacyjnych.

Stąd demagogja przyzwyczaiła społeczeństwo do zaliczania w poczet ubogiego świata pracy n. p. dwustomorgowego chłopa, przeciwstawiając go w mentalności ogółu n. p. wykształconemu posiadaczowi małego domku z ogródkiem, lub paropokojowego mieszkania w mieście, który w rzeczywistości stokroć większą biedę klepie, ale wyżej stoi kulturalnie od owego bogatego chłopa. Iluż to ludzi dzisiaj prawie głodem przymiera, nie ma środków na wychowanie dzieci i na zaspokojenie wielu innych, najprymitywniejszych potrzeb, słowem posiada mniej od dobrze nieraz płatnego robotnika, a jednak nie wynika z tego, żeby miało jeść, spać, ubierać i zachowywać się tak, jak chłop lub robotnik, mający nieraz daleko większą gotówkę w kieszeni. Iluż ludzi z inteligencji i z dobrem nazwiskiem uważa za rzecz samą przez się zrozumiałą, że ważniejsze są trzewiki, niż żołądek i dlatego w największej nawet biedzie, chudnąc z głodu, nie wyjdzie z domu boso, podczas gdy szerokie warstwy niżej cywilizowane, nawet z sytym żołądkiem i z gotówką w kasie, uważają za rzecz naturalną oszczędzanie butów i chodzenie na bosaka! To samo odnosi się do kołnierzyka, kapelusza, mydła i t. d.

Jest to więc przedewszyskiem sprawa stopnia cywilizacji i dlatego demagogicznie rozpowszechniony podział na niby ubogi lud pracujący i na warstwę niby posiadającą i niby nie pracującą (bo tak z sensu tego podziału wynika) jest bezmyślny i fałszywy.

Rzeczywistej prawdzie odpowiada natomiast daleko więcej podział na tych wszystkich, którzy mają zabezpieczoną egzystencję na pewnym poziomie zapomocą stałych płac oraz na tych, którzy pracują samodzielnie, jako przedsiębiorcy, niczem nie zabezpieczeni, o zyskach lub stratach, zależnych od koniunktury i najrozmaitszych innych okoliczności. W ramach pierwszego z tych obu wielkich działów społecznych, odpowiadających istocie nowoczesnych stosunków, widzimy oczywiście bardzo wielkie różnice — od wiejskiego parobka i najniższej kategorji robotnika, aż do prezesów i dyrektorów wielkich przedsiębiorstw. Ale wszytkie te kategorje ludzi o stałej płacy kontraktowej mają, ogółem biorąc, w skali swych pensji byt zapewniony, a na rzecz państwa płacą z tych pensji tylko pewien, sztywnie ustalony procent, który w żadnym razie ich nie rujnuje.

Natomiast na samodzielnych przedsiębiorców z wszystkich zawodów, choćby najskromniejszych, runęło państwo bezpośrednio, a nadto jeszcze przez swój olbrzymi aparat samorządowy, ogromnym, bez żadnej kwestji niesprawiedliwym ciężarem, miażdżącym nietylko materjalnie warsztaty pracy i zarobki, ale i moralnie chęć do pracy i inicjatywę gospodarczą. Śmieszny, zarazem demagogiczny, ale i antydemokratyczny paradoks: Ustrój państwa uznaje, mimo nałożonej na nie progresji podatkowej, nawet największe, krociowe dochody, o ile mają formę stałych płac, a natomiast z niezrozumiałą zaciętością ściga — inaczej wyrazić tego niepodobna — najbiedniejszego sklepikarza i to taką masą różnorodnych podatków, że nawet drobny taki przedsiębiorca czuje się dosłownie jak mucha w sieci pająka i o ile utrzymuje się wogóle na powierzchni, to przyzwyczaja się do społecznie niezmiernie niezdrowego życia z dochodów brutto, brnąc w ustawicznych długach wobec państwa, samorządu i w następstwie także i w prywatnych.

I nie pomoże tu — a stwierdzamy to na podstawie powszechności faktów realnych — żadna gorliwość, żadna najwytrwalsza praca od wczesnego rana do późnej nocy, żadna oszczędność i zapobiegliwość. Moloch nowoczesnego państwa rzuca się na najdrobniejszy grosz zarobiony, a bardzo często tnie ślepym mieczem fiskalizmu głęboko poniżej oczywistej opłacalności przedsiębiorstwa. Pereat mundus, fiat fiscus!

I gdy „ludzie o stałych płacach", zwani z demagogiczną emfazą światem pracy, żyją sobie stosunkowo — oczywiście stosunkowo! — swobodnie i bez troski materjalnej, uważani za

obywateli pierwszorzędnych, bo przecież „mają posady", to przeciw nieszczęsnym przedsiębiorcom, zwłaszcza średnim i najmniejszym, zwraca się ustrój państwa, biurokracja, fiskalizm, demagogia, a nawet sztucznie urobiony nastrój narodu całem swem ostrzem i ciężarem. Według tego osobliwego światopoglądu niewykwalifikowany robotnik lub parobek z płacą w gotówce i w naturze wartości n. p. sto zł. miesięcznie oraz wysoki dygnitarz lub dyrektor czy prezes przemysłowy, kumulujący stałe płace z różnych przedsiębiorstw, są dobrymi synami Ojczyzny, warstwą chwalebnie pracującą i przedmiotem kultu wszelakich publicznych przemówień bezpośrednich i radjowych. Natomiast każdy przedsiębiorca, aczkolwiek największe z pośród wszystkich sfer obywatelskich bierze na siebie ryzyko, najwięcej stwarza w państwie konkretnych wartości i największe ponosi ciężary, jest traktowany jakgdyby za wroga Ojczyzny, za przez ustrój państwa ledwie tolerowanego krwiopijcę i równocześnie parjasa, za obywatela drugiego lub trzeciego rzędu, którego podatkami, gazetami i demagogją krasomówczą należy ścigać i niszczyć. A nadto, żeby przypadkiem nie upomniał się o prostą sprawiedliwość, grozi mu się ustawicznie — nieraz niestety nawet i półoficjalnie — „zemstą" świata pracy.

Oto nasza prawda gospodarcza, którą można sztucznie zatuszować dla celów demagogji, ale której nikt uczciwie nie jest w stanie zaprzeczyć. A więc dygnitarz oficjalny lub prywatny, pobierający stale w pensji i dodatkach po kilka tysięcy zł. miesięcznie, jest prawym obywatelem, gdy natomiast najuboższy szewc czy krawiec, właściciel samodzielny drobnego warsztatu w suterenach lub na poddaszu, jest krwiopijcą, wrogiem postępu i niemal zdrajcą kraju!!?

Jakże wyglądają na tle tego faktycznego stanu rzeczy, który dziś już najdrobniejszy przedsiębiorca miejski i wiejski, chłop i rzemieślnik, doskonale sobie uświadamia, owe arcyszumne, ustawiczne odezwy drukowane, ustne i radjowe o rozbudowie mocarstwowej gospodarki polskiej, o szlachetnym wyścigu pracy, o podniesieniu wytwórczości narodowej i spotęgowaniu polskiego stanu posiadania?! Chcemy krytykować spokojnie i z umiarem, a przedewszystkiem ściśle rzeczowo — ale właśnie z tej platformy objektywizmu i umiaru wszelkie owe szumne odezwy wyglądają, szczerze mówiąc, na kpiny!

Bo kto ma być pionierem owej gospodarki mocarstwowej? Jeżeli państwo i ludzie o stałych płacach, to w takim razie powiedzmy sobie jasno, że zmierzamy w gruncie rzeczy, wśród

przeciwnych frazesów, do wzoru naszego wschodniego sąsiada. Istotnie, jeżeli współczesna Polska uznaje za chwalebny "świat pracy" tylko dzieła ministrów, stworzone za pieniądze podatkowe oraz przepisanemi godzinami określoną płatną pracę, to zaiste — poza kwestją religji — różnica faktyczna między ustrojem naszym i bolszewickim maleje do zewnętrznych tylko szczegółów. Trzeba się tylko spokojnie, bez fałszywego entuzjazmu patrjotniczego, nad tą wielką prawdą zastanowić.

Mamy już chyba aż nadto wiele praktycznego doświadczenia na różnych krajach i eksperymentach, czy rzeczywiście dzieła etatyzmu plus robota ludzi o stałej płacy, wykonywana z pewną obojętnością — bo właśnie stałą płacą zabezpieczona i względnie wolna od ryzyka — może zrównoważyć zniszczenie lub upadek pracy przedsiębiorcy, który wkłada w przedsiębiorstwo rzeczywiście wszystkie swe środki i walory materjalne i moralne? Weźmy klasyczny przykład, niestety aż zanadto dziś rozpowszechniony: wszak żaden robotnik, ani urzędnik, ani dyrektor nie zechce z własnej kieszeni dokładać do przedsiębiorstwa państwowego czy prywatnego, podczas gdy przedsiębiorca jakże często musi dokładać, pocieszając się tylko, że może „na przyszły rok będzie lepiej"! To jedno walne zjawisko ilustruje chyba dostatecznie olbrzymią różnicę wartości faktycznej i moralnej między człowiekiem o stałej płacy a przedsiębiorcą.

Gdy więc odrzucimy płytką demagogję wyborczą, czy wogóle partyjno-klasową, to rzeczywista rzeczywistość staje przed nami w całej pełni, zadając kłam stanowczy wszelkiej utartej frazeologji. Niema żadnego specjalnego świata pracy, który istnieje tylko jako fikcja i pogróżka w umysłach i ustach demagogów, zarażonych — z wolą lub mimo woli — marksowską doktryną. Pracują bowiem w Polsce wszyscy — oprócz całkiem nieznacznej garstki, która nie wchodzi nawet w rachubę i spokojnie może być pominiętą — i to pracują ciężko, sumiennie, borykając się wśród niezmiernie trudnych warunków. I dlatego mają prawo żądać i wymagać od każdego, kto o tej sprawie z trybuny oficjalnej lub prywatnej przemawia, odpowiedniego, sprawiedliwego respektu dla wszelakich kategorji polskiej pracy wogóle. Zakładamy stanowczy protest przeciw prolongowaniu fikcji, jakoby szesnastogodzinna, ryzykowna, odpowiedzialna i od podstaw twórcza praca przedsiębiorcy, angażująca nadto cały jego majątek, miała być czemś niższem i podlejszem od ośmiogodzinnej, często zupełnie beztroskiej i mało odpowiedzialnej pra-

cy ludzi o stałych płacach. Nie wolno prolongować bezkarnie a lekkomyślnie atmosfery, w której całe uznanie, wyróżnienie a nawet pochlebstwo wieńczy laurem masy także i obojętnych posadkowiczów, a miecz Ojczyzny zwraca się jakgdyby z jakąś zemstą — za co?! — przeciw najtęższym właśnie żywiołom obywatelskim, które nie wiszą wygodnie na płacach, pensjach i posadach, myśląc często tylko o zabezpieczeniu i emeryturze, ale idą śmiało i na własną odpowiedzialność w ciężkie zapasy z kryzysem i zachłannym fiskalizmem, budując od podstaw gospodarstwo narodowe i rozwijając przez to właśnie prawdziwą myśl gospodarczą. A są wśród tych przedsiębiorców tak samo ludzie zamożni i ubodzy, jak wśród ludzi o stałej płacy.

Dlatego — uczciwie i realnie biorąc — jeżeli mowa jest o „gruntownej przebudowie" ustroju gospodarczego i społecznego Polski i o stworzeniu nowego typu Polaka, zdolnego podjąć na serjo budowę Polski mocarstwowej, to muszą Rząd, państwo i społeczeństwo wysunąć bezwzględnie na pierwsze miejsce typ Polaka-przedsiębiorcy, a nie typ zabezpieczonego posadkowicza o stałej płacy. Wszak bezsporną jest prawdą, że ani ośmiogodzinny, na marsksowskiej doktrynie zbudowany typ robociarza-strajkowicza, ani niemniej demagogiczny typ urzędnika — emeryturkiewicza, ani wreszcie obojętny na wszystko typ kontraktowego dyrektora-miljonera nie stworzą polskiej gospodarki mocarstwowej i nie pójdą poza tymczasowe granice Państwa jako pionierzy polityczno - gospodarczej idei jagiellońskiej, ale właśnie przedsiębiorcy prywatni, ryzykujący śmiało swoje mienie, talent, duszę, a często i ciało dla historycznej misji Polski mocarstwowej. Tę linję nastroju i postępowania dyktuje władzom i społeczeństwu polskiemu zarówno oczywista racja stanu, jak i logiczny, zdrowy chłopski rozum.

Niestety, w imię prawdy stwierdzić należy, że dotąd demagogiczny duch Polski wskrzeszonej, zatruty marksowskiemi miazmatami ze wschodu i zachodu, postępuje wręcz przeciwnie. Obdarty proletarjusz, czyli fałszywie pojęty „świat pracy", jest dotąd jeszcze samobójczym ideałem w pojęciach i ustach nietylko bezkrytycznej polskiej opini publicznej, ale nawet i różnych, lepiej politycznie uświadomionych i doświadczonych sfer elity politycznej. Wszyscy oni chcą tworzyć tragikomiczny paradoks: mocarstwową Polskę dziadów!!! A z resztek mienia tych dziadów chcą równoważyć budżet i opłacać coraz większe chmary ludzi o stałej płacy!

Każdy — bez wyjątku — człowiek rozumny, zdolny jeszcze do jakiejkolwiek logicznej refleksji, musi uznać taki system za zupełnie pomylony. Niestety, słyszymy wciąż jego propagandę z różnych trybun niby patrjotycznych, niby głoszących naprawę Rzeczypospolitej!

Na szczęście dla Polski, a na nieszczęście dla demagogów wszelkiego typu i rangi, polska opinja publiczna — od inteligenta do robociarza — nie jest jednak aż tak głupia i barania, jak sobie różni ci panowie wyobrażają. Krótko mówiąc — nikt już nie wierzy, we wszelkie szumne wezwania do wyścigu pracy i do budowy Polski mocarstwowej na platformie „zemsty świata pracy". Niechże wszyscy autorzy górnolotnych enenuncjacji i wszyscy oklaskiwani na wiecach i słuchani przez radjo, zdadzą sobie raz nareszcie sprawę, że oklaski te są cyrkowe, że im społeczeństwo polskie nie wierzy i że — o ile policjanta niema w pobliżu — śmieje się po kątach z tego wszystkiego, gdyż między teorją i patosem owych mocarstwowych enuncjacji a rzeczywistą rzeczywistością życia codziennego zieje zbyt wielka przepaść, żeby nawet naiwna i skłonna do entuzjazmu opinja polska nie miała tego zauważyć.

Bo przedsiębiorca polski, wzywany pod sankcją „gniewu ludu" do wyścigu pracy przez rozmaitych propagatorów Polski mocarstwowej, widzi naocznie i konkretnie wrogie nastawienie ustroju państwa i nastroju wszelakich warstw o stałej płacy przeciw sobie. Dla niego Polska widoczna jest konkretnie i realnie w postaci tylko niemiłosiernych, niesprawiedliwych, niszczących ustaw i rozporządzeń etatystyczno-fiskalnych, a poza teatrem sztucznych (i kosztownych) inscenizacji pochodowo-chorągiewkowych widzi przedsiębiorca tę wskrzeszoną Polskę naprawdę tylko w postaci egzekutorów podatkowych, którzy twórczego przedsiębiorcę traktują z zasady jako wroga państwa i złodzieja, z wyraźnem nastawieniem zniszczenia jego zarobku i warsztatu pracy.

Wyzywamy niniejszem w szranki kogokolwiek, aby realnie i uczciwie — bez górnolotnych frazesów — zaprzeczył temu, co niniejszem twierdzimy. Niech wystąpi przeciw nam jakikolwiek dygnitarz, czy poseł, czy senator, czy jakikolwiek przywódca ludu i spojrzawszy nam w oczy stwierdzi nieprawdę tego, co niniejszem z symbolicznem uderzeniem pięścią w stół formułujemy. Z absolutną pewnością nikt w Polsce nie będzie wstanie tego uczynić bez blagi. Bo piszemy w imię bezwzględnej prawdy i przeczymy zapatrywaniu, jakoby pełnoletnich oby-

wateli mógł jakikolwiek „mówca o stałej pensji" utrzymać długo w sztucznej narkozie.

Weźmy przykładowo pewien nasz szczegół ustrojowy, który zieje absurdem z każdego punktu widzenia — gospodarczego, prawniczego, logicznego i patrjotycznego — a który został Polsce narzucony swego czasu bez żadnej wątpliwości przez wpływy obcych doktryn i złych mocy w celu sparaliżowania i położenia pokotem całego gospodarstwa krajowego. A tym przykładowym szczytem absurdu jest: podatek obrotowy

Logicznem jest składanie daniny państwu od tego, co się posiada i co się zarobi. Ale składanie daniny — i to dotkliwej — od wartości, które przez czyjeś ręce bez żadnego zysku jedynie tylko przechodzą, pozostawiając po sobie często tylko zobowiązania i długi, to jest najniewątpliwiej zupełnym absurdem. Wszak przedsiębiorca może mieć duży obrót, a z niego wskutek różnych okoliczności ani grosza zysku, a przeciwnie wielki deficyt wskutek nabycia na kredyt surowców, a niezapłacenia przez klijentelę zamówionych wyrobów. Znany to los codzienny kupca i przemysłowca. I od tego teoretycznego, nawet nie zrealizowanego obrotu książkowego zdziera wskrzeszona Polska bez miłosierdzia ostatni grosz z przedsiębiorcy, prawiąc mu równocześnie o wyścigu pracy i wyparciu Żydów. Uczciwy czytelniku, czy nie zdajesz sobie sprawy z całej głębi i rozmiaru tej tragikomedji?

Że zrutynizowani fiskaliści nie mają (jako urzędnicy, nie zaś jako obywatele!) dla tej kolosalnej tragikomedji żadnego zrozumienia, to nie dziwota. Wszak są to ludzie „o stałej płacy", a więc zabezpieczeni. Natomiast daleko więcej karygodnem i antypaństwowem jest zjawiskiem, że w pierwszym rzędzie uczeni skarbowcy, profesorowie wyższych uczelni oraz prezesi różnych potężnych zrzeszeń gospodarczych nie wystąpili już dawno w sposób zdecydowany i konsekwentny przeciw takim absurdom gospodarczym. Bo gdyby wiedza naukowa polska oraz stały wpływ pobierających krociowe dochody prezesów i dyrektorów naszych instytucji gospodarczych zechciały w imię prawdziwego patrjotyzmu gospodarczego walić z cierpliwością kropli, drążącej skałę, w cały ten kompleks narzuconych Polsce pojęć bolszewicko-masońskich, pod którym gospodarcza inicjatywa Polaków stale jest paraliżowana, to wówczas i Rządy i Parlamenty i społeczeństwo polskie wyzwoliłyby się ze zmory proletaryzującej, która ciąży dotąd nad wszelkiemi możli-

wościami gospodarczej, a w rezultacie i politycznej ekspansji wrodzonego talentu narodu polskiego.

I dlatego niech nam różne ilustracje gazetowe nie przynoszą fotografji ofiarowania pojedyńczego karabinu maszynowego lub samolotu dla armji. Wiemy doskonale, jak się to w rzeczywistości odbywa. Z całą odwagą cywilną ośmielamy się twierdzić, że tysiąckroć większą wartość miałby w naszych oczach każdy wypadek finansowego powodzenia prywatnego przedsiębiorcy, nie ściganego za to przez podatkowe władze rządowe, samorządowe i instytucje socjalistycznego gwałtu dobrodziejstw społecznych. Z całą otwartością twierdzimy, że jeden wypadek uczciwego zbogacenia się polskiego sklepikarza znaczy daleko więcej dla państwa i obrony państwowej, niż dziesięć ciężkich karabinów maszynowych, zafundowanych reklamowo i snobistycznie z urywków tantjem jakiejś spółki akcyjnej dla przypodobania się czynnikom oficjalnym. Każdy przyzna, że mamy rację.

Jeżeli więc dygnitarze, działacze, dziennikarze i przedstawiciele „nadziei narodu" t. j. młodzieży twierdzą raz po raz szumnie i rozgłośnie, że wskrzeszona Polska potrzebuje koniecznie nowego typu Polaka, to możemy życzeniu temu z całą energją tylko przyklasnąć z tem jednak oczywistem zastrzeżeniem, że ten nowy typ Polaka otrząśnie się przedewszystkiem z przedpotopowych, marksowskich w gruncie rzeczy pojęć i ideałów. Jeżeli mamy pędzić z kraju ducha Izraela, to musimy przedewszystkiem zmiażdżyć w sobie samych jego demagogiczne, rozkładowe pojęcia proletaryzujące. Bez tego wszelkie zbożne zamiary, wszelkie szumne przemowy sejmowe, prasowe i radjowe wyjdą na dziecinne kpiny, z których się pierwszy lepszy żyd-mason, Warburg czy Loeb, w kułak z Polski wyśmieje. Najistotniejszem zadaniem Rządu i społeczeństwa polskiego są wcale nie wielkie roboty publiczne, dokonywane z pieniędzy podatkowych przez tego lub owego chwilowego ministra, ale materjalna i moralna arystokratyzacja i wprost uprzywilejowanie prywatnego przedsiębiorcy polskiego, gdyż jego tylko powodzenie zadecyduje o potędze realnej Rządu i państwa i o pomyślnem zatrudnieniu szerokich rzesz społeczeństwa.

Ta wielka, bezwzględna prawda nie może być dłużej ukryta. Nie dziesięć, ale dziesięć tysięcy ciężkich karabinów maszynowych zafunduje państwu zamożny przedsiębiorca prywatny, podczas gdy największe wysiłki bezkrytycznego etatyzmu, największe wysiłki poszczególnego ministra i sporadyczne, reklamowe dary ludzi o stałych płacach nie stworzą Polski mocarst-

wowej. Ustrój państwa musi istotnie ulec gruntownej reformie, której wszyscy żądają. Ale żadne sztuczne reformy ministerjalne, czy totalistyczne, czy ultra-demokratyczne, czy korporacyjne nic tu nie pomogą. Przyniosą tylko czczą formę, a nie treść realną. Natomiast treść realną może przynieść jedynie i wyłącznie tylko: stanowcza, zdecydowana kapitulacja etatyzmu i fiskalizmu publicznego z ich zachłannych, niszczących pretensji, a natomiast wysunięcie naprzód i uprzywilejowanie fiskalne i moralne śmiałego przedsiębiorcy polskiego.

W tem leży zarówno trwałe zwycięstwo rozumnego reżimu rządowego, jak i rzetelna myśl mocarstwowa, oraz realne rozwiązanie sprawy bezrobocia. W tem leży także wszelka idea skutecznej obrony i ekspansywnej idei państwowej. Wszystko inne, to poddawanie się paraliżującej doktrynie marksowskiej i widoczne „pomniejszanie państwa", mimo wszelkich szumnych frazesów, których zaprawdę szkoda, bo w nie ani inteligent, ani chłop, ani robotnik oddawna już nie wierzy, a młodzież polska lekceważy je z niepokojącą pogardą.

Cała ta sprawa — wyzwolenia Polski z fiskalnego nacisku i absurdu — staje się już groźną i piekącą wobec niebezpiecznego okrążenia, jakiemu podlegamy. Wszak okrąża nas konsekwentny zaborca od północy i od południa, oddziaływując także wzburzająco na nasze kresy wschodnie. Wszak choćby tylko od południa tworzy się łańcuch podatnych, paciorkowatych tworów, mających służyć za handlową i strategiczną „autostradę", która odetnie nas od świata. Wszak za śmiesznym, ale dotkliwym tworem Rusi Zakarpackiej, gdzie niedołężnych bolszewików zastąpiła teraz moc żelaznej organizacji, zaczyna tworzyć się dalszy paciorkowy twór „niezależnej" Bukowiny. Stąd jeden krok do ujścia Dniestru, gdzie już istnieją wypadowe kolonje niemieckie.

Jakżeż mikroskopijne i marne są wobec tego nasze demagogiczne wyborcze wezwania do wyścigu pracy, hamowanego równocześnie polskim etatyzmem i fiskalizmem! Rzeczywistość ta uświadamia się już nawet naszej kawiarnianej opinji publicznej, łącząc przeciw ambitnym politykom krajowym mentalność chłopa, robotnika i inteligenta. Radjo tu nic nie pomoże. Do wyczynów z trybuny sejmowej jest całe społeczeństwo aż nadto przyzwyczajone i wobec faktycznej nominacji mandatów zupełnie obojętne. Natomiast każdy pan, czy chłop, pracodawca czy pracobiorca, zdaje sobie coraz lepiej sprawę z krzyczącej dysproporcji, jaka istnieje między publiczną frazeologją, a miażdżącym,

marksowskim fiskalizmem i groźnem niebezpieczeństwem dokoła Polski. Zbiera się na burzę w nastawieniu i mentalności narodu. Tym razem zarówno od dołów, jak i od góry społeczeństwa. Niech propagatorzy pustego dźwięku Polski mocarstwowej nie łudzą się na swych wygodnych stanowiskach: dziś wykształcony, dobrze uświadomiony inteligent z tradycją patrjotyczną, myśli tak samo, jak ostatni proletarjusz. Konsolidacja sfer narodu polskiego postępuje istotnie, ale całkiem inaczej, niż ta, którą chcą nam narzucić dla własnej chwały i interesu różne sfery, a zwłaszcza jednostki uprzywilejowane. A jeżeli już nawet „Nasza Przyszłość" to mówi, to nie są to słowa na wiatr. Sto razy zastanawiamy się nad sytuacją i prawdą, zanim w dojrzałej formie na tych łamach ją ogłosimy.

Niech również przywódcy społeczeństwa polskiego, mający na razie różne potężne środki do dyspozycji, zastanowią się głęboko nad pewnym, bezdyskusyjnym faktem: że uczucie patrjotyczne, gotowe do wszelkich doraźnych ofiar krwi i mienia, słabnie jednak, jeżeli w Ojczyźnie stale się źle czuje. Nie może być prawdziwym patrjotą obywatel, uczciwie a ciężko pracujący, który stale w ustroju własnego państwa musi widzieć przeciwnika, konkurenta, wroga. Na to żadne wzniosłe przemówienia, ani przemoc państwowa na dłuższą metę nie pomogą. Najtęższy, najautorytatywniejszy rządca państwa staje się siłą rzeczy bezsilnym retorem, jeżeli nadmierny nacisk państwowy przemienia prawdziwy patrjotyzm na bierną rezygnację. I tej prawdy również nikt nam nie jest w stanie zaprzeczyć.

My już bez skargi nie znamy śpiewu — te słowa poety powtarza dziś każdy nieuprzywilejowany obywatel polski w swym duchu. Każą nam się cieszyć i robimy w tym kierunku najszczery wysiłek materjalny i moralny. Ale trzeźwy objektywizm wykazuje nam codziennie, że — oprócz sentymentalizmu — właściwie nie mamy powodu do radości. Bo, realnie rzeczy biorąc, każda chwila, każda zmiana, każde hasło przynosi nam w ostatecznym rezultacie tylko coraz większe osobiste ograniczenia i ciężary, a zwłaszcza podatki, podatki i bez końca podatki. Nie było dotąd żadnego ministra, któryby miał talent i odwagę cywilną ulżyć naprawdę pracy i inicjatywie społecznej. Przynoszono ulgi lekkomyślnym dłużnikom, konfiskowano wierzytelności, podcinając w ten sposób kredyt i wzajemne zaufanie społeczeństwa do siebie. Rozzuchwala i rozleniwia się warstwy pracownicze grubo przesadzonem w kierunku

ochrony nieróbstwa ustawodawstwem pracy, która prawdziwą krzywdę moralną i materjalną wyrządza warstwom mniej wykształconym. Ale twórcza praca żadnej nie doznała ulgi, wprost przeciwnie, jest stale, od dwudziestu lat, przez wskrzeszoną Polskę prześladowana.

Ostatni czas skończyć z tym złowrogim absurdem! Nie chcemy odgrywać smutnej roli głosu Kassandry, ale spełniamy niniejszem nasz prymitywny obowiązek obywatelski. Daleko ważniejszy obowiązek i daleko trudniejszy, niż wrzucanie jakiejś wyborczej kartki do urny na zupełnie nieznanego kandydata. Niech usuną się z ambitnych stanowisk ci, którzy w upartem doktrynerstwie współczesnej roli i potrzeb eksponowanego państwa polskiego nie są w stanie zrozumieć. Zapewniamy ich, że żadnego nie będą mieli powodzenia, bo naród polski nie jest dziś już ani tak bierny, ani tak naiwny, jak się to różnym panom wydaje. Zginą w zapomnienia fali razem z wszystkiemi swojemi ambicjami i „totalistycznemi" zapowiedziami. Polacy chcą żyć, chcą czuć się coraz lepiej w odzyskanej Ojczyźnie, chcą dobrze zarabiać, a nawet rwą się całkiem słusznie do ekspansji politycznej i gospodarczej. Ofiar i cierpień mieliśmy dość pod obcym zaborem i na Sybirze. Teraz wszyscy żądamy swobody i dobrobytu. Na żadne państwo-molocha nikt nas nie weźmie.

Ale, jako patryjoci, pamiętamy również i o koniecznościach państwowych. Rozumiemy walor równowagi i budżetu. Jak więc ta równowaga, a zwłaszcza konieczność dozbrojenia, da się pogodzić z kategorycznym imperatywem kapitulacji żarłocznego fiskalizmu?

Rzecz bardzo prosta. Stopniowa, planowa, z bezwzględną konsekwencją przeprowadzona redukcja niezmiernie kosztownego aparatu rządowego i samorządowego do niezbędnego minimum. Chmary urzędnicze winny zmniejszać się planowo z roku na rok. Arcykosztowne instytucje oficjalne i półoficjalne, miażdżące nas swym zbędnym ciężarem, winny ulec nie rozbudowie, ale stopniowej odbudowie i likwidacji. Nieprawda, że w wolnej, niepodległej Polsce potrzebną jest szeroka rozbudowa samorządu terytorjalnego i gospodarczego. Wszak każdy szary obywatel przyzna z doświadczenia, że w instytucjach państwowych bez porównania prędzej swą sprawę załatwi i więcej znajdzie zrozumienia, niż w niesłychanej biurokracji samorządowej.

Weźmy dla przykładu nieszczęsny przemysł i handel. Poczwórnej on podlega hierarchji władz, na których utrzymanie

łożyć musi: władze rządowe, władze samorządowo-terytorialne, władze samorządu gospodarczego i wreszcie różne półoficjalne Lewiatany czy inne związki. Poco ten straszliwy ciężar? Chyba tylko poto, aby krociowe pensje płacić prezesom, dyrektorom i innym sprytnym uprzywilejowanym. Czyż nie wystarcza jedna polska władza państwowa, a obok niej własna głowa przedsiębiorcy? Przecież nie żyjemy już pod obcym zaborem i dlatego „zdobycze samorządu" nie są już dla nas żadnym atutem, lecz tylko nieznośnym a w istocie całkiem zbędnym ciężarem. Wszak w razie potrzeby z radcą ministerstwa, województwa lub ze starostą polskim stokroć prędzej można się porozumieć, niż z dumnym urzędnikiem samorządu, ziejącym atmosferą swej zbędności lub z magnatami finansowemi z izb gospodarczych czy Lewiatanów! Znowu prawda, której nam nikt nie zaprzeczy.

Reasumując więc, stawiamy stanowczy postulat, że państwo wraz ze wszystkiemi swemi przybudówkami winno stopniowo znacznie obniżyć wszelkie świadczenia publiczne, a zato również stopniowo likwidować nadmierny swój aparat administracyjny czy reprezentacyjny wszelkich kategorji. Mniej urzędów i urzędników, mniej ciężarów fiskalnych, mniej ludzi o stałych płacach, a więcej samodzielnych przedsiębiorców, dobrze i swobodnie zarabiających — oto kardynalny problem i postulat Polski mocarstwowej. To również próba i egzamin prawdziwego talentu naszych Ministrów dla spraw gospodarczych.

To także i jedynie skuteczny sposób na stopniową likwidację bezrobocia i prawdziwe polepszenie bytu „Świata pracy". Wszelkie inne zamiary — to fikcja, nierealna i szkodliwa.

Sekcja gospodarcza

Zw. Polskiej Myśli Państwowej.

Wytyczne „Ustroju uproszczonego“ Państwa Polskiego

W październikowym zeszycie Naszej Przyszłości podaliśmy w piętnastu artykułach podstawowe zasady t. zw. uproszczonego ustroju państwa wraz z obszerniejszemi komentarzami. Elaborat ten miał i ma swoje specjalne znaczenie. Jest szczególnie aktualny w obecnym okresie „przejściowej kadencji sejmowej“, która ma uchwalić nową ordynację wyborczą, czyli zapewne wrócić do dawnych utartych i wytartych demokratycznych wzorów.

Aktualny jest nadto projekt nasz także dlatego, że wszelakie partje, czynniki i gazety grożą narodowi polskiemu — już i bez tego dostatecznie modernistycznym ustrojem zgnębionemu — jakiemiś reformami pod nagłówkiem „gruntownej przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego“.

Domyślamy się w bieżącej epoce doktryn niewoli społecznej, wszechwładzy państwa i gnębienia jednostki, co takie zapowiedzi przebudowy mogą oznaczać. W żadnym razie nic korzystnego dla społeczeństwa, a jedynie tylko dalsze miażdżenie indywidualizmu i własności prywatnej — co wszystko rodzi się ostatecznie z socjalistycznej doktryny w najrozmaitszych jej postaciach: etatyzmu, ultra-nacjonalizmu, hitleryzmu, faszyzmu i bolszewizmu. Formy i hasła przeróżne, ale źródło i cel ostateczny te same.

Jest naszym obowiązkiem śledzić pilnie te wszystkie przejawy niepolskich doktryn i zamierzeń i demaskować je dla uświadomienia polskiego społeczeństwa. Nie dopuścimy, aby w naszej Ojczyźnie buszowały sprytnie obce rozkładowe ideje, drapujące się dla niepoznaki w togi patrjotyzmu i demokracji.

Stąd też nasz projekt ustrojowy, którego propaganda wyjdzie znacznie poza łamy Naszej Przyszłości, nie jest bynajmniej jakąś oderwaną fantazją, ale tkwi mocno korzeniami w postulatach pewnych sfer społeczeństwa, które głębiej i poważniej zastanawiają się nad tem, co jest i co nadejść może. W projekcie na-

szym sformułowaliśmy w istocie to, co wielu myśli, czuje i pragnie, a tylko nie skonkretyzowało sobie należycie. Jest to w gruncie rzeczy nawrót do gwałtownie przerwanych dziejów dawnej Rzeczypospolitej, z uwzględnieniem nowoczesnych stosunków. Bo zaiste, czyż my, nowocześni Polacy, przeszedłszy przez niemal półtorawiekową próbę niewoli pod obcymi rządami i pod najazdem masońsko-socjalistycznej doktryny, narzuconej nam ongiś z Paryża (oczywiście z Paryża!), możemy coś mądrzejszego i praktyczniejszego wymyśleć w specyficznych warunkach i położeniu naszego państwa, jak poprostu nawrót do dawnej Polski, poprawiając tylko i modernizując różne szczegóły?!

Rezultat tych naszych prac i refleksji — przeprowadzonych z bezwzględnym objektywizmem i odrzuceniem na bok wszelakich nawet śladów doktrynerstwa, hasełkowości i demagogii — poddaliśmy krytyce szereg zebrań, zwołanych nietylko w gronie przyjaciół Naszej Przyszłości. Z zebrań tych wynikły pewne poprawki pierwszego naszego elaboratu, zresztą bardzo nieznaczne, ale przede wszystkiem jeszcze ściślejsze, jeszcze bardziej lapidarne skonkretyzowanie „uproszczonego ustroju“ w następujących punktacjach, które są wprawdzie ułożone w sposób możliwie jasny i dostępny, ale dla których dokładniejszego uzasadnienia potrzebną jest oczywiście znajomość wspomnianego na wstępie obszerniejszego elaboratu w zeszycie październikowym.

I. ZASADY OGÓLNE.

WŁADZA.

1) Władza zwierzchnia musi być trwała i silna, w typie jednowładcza, czego symbolem ma być tytuł regenta.

2) Rząd musi być zwarty i uproszczony w układzie działów i kompetencji.

3) Parlament winien wyrażać hierarchiczne nawarstwianie czynnika autonomji społecznej przy podwyższaniu w miarę jej stopniowania odpowiedzialności politycznej obywatela.

ADMINISTRACJA.

1) Administracja winna być zdecentralizowana, a przez to sharmonizowana z autonomją społeczną.

2) Podział administracji terytorjalnej winien uwzględniać tradycje historyczne oraz potrzeby fizjologiczne i regjonalne kraju.

3) Urzędnicy winni reprezentować powagę władzy, nie wolno im zrzeszać się w związki zawodowe.

MNIEJSZOŚCI NARODOWE.

1) Pojęcie to obejmuje Niemców i Żydów, jako elementy napływowe a więc nie autochtoniczne.

a) W stosunku do Niemców obowiązuje zasada wzajemności według miary traktowania Polaków w Niemczech.

b) W odniesieniu do Żydów stosowana być winna zasada — przy pełnem poparciu państwa — podnoszenia w drodze pozytywnej polskiego stanu posiadania i aktywizacji gospodarczej całego polskiego społeczeństwa, zwłaszcza jego warstw średnich, aby po linji procesu organicznego doprowadzić do odpływu żydostwa z kraju. Przyśpieszenie tego odpływu winna nadto ułatwić ustawa o corocznej procentowej emigracji.

2) Narody litewski, białoruski i ruski, są — jako autochtoniczne — współgospodarzami kraju.

a) Wilno może być stolicą duchową Litwy, o ile Litwa połączy się z Polską na odpowiednich zasadach, z zastrzeżeniem oczywiście polskości tego miasta, nabytej w wielowiekowym rozwoju.

b) Białorusini stanowią korzystny pomost dla równowagi między północno - wschodnimi i południowo - wschodnimi obszarami Rzeczypospolitej w jej historycznych granicach.

c) Rozwiązanie sprawy ruskiej zależy od wytrzebienia wpływów doktrynerstwa politycznego, działającego pod maską partyjną ukrainizmu.

ZASADY PRAWNE.

1) Prawo własności prywatnej, pojęte integralnie, ze wszystkiemi ustawodawczemi konsekwencjami, jest podstawą gospodarki narodowej.

2) Swobodny zarobek obywatela, nie krępowany fiskalizmem i przymusem ubezpieczeń, jest podstawą dobrobytu narodowego.

3) Prawodawstwo polskie winno uwzględnić interesy rodziny w formie odpowiednich ustaw, mających na celu ochronę rodziny, jako wspólnoty gospodarczej (niepodzielne gospodarstwa i t. p.).

II. GŁÓWNE SZCZEGÓŁY USTROJU.

1. GŁOWA PAŃSTWA – REGENT.

Głową państwa jest regent, z władzą dożywotnią, wybierany przez senat.

Regent mianuje: kanclerza, który jest jego zastępcą w razie nieobecności w granicach państwa lub wakansu, generalnego prokuratora państwa, prezesa Najwyższego Trybunału, naczelnego wodza sił zbrojnych oraz 25 członków Rady Przybocznej.

Regent mianuje z kontrasygnaturą kanclerza czterech ministrów (Sekretarzy Stanu).

Zatwierdza i ogłasza ustawy z mocą prawną po uprzedniem ich uchwaleniu przez obie Izby Parlamentu, a w razie braku uzgodnienia między niemi rozstrzyga ostatecznie.

Wyroki sądowe ogłaszane są w jego imieniu.

2. RZĄD.

Rząd składa się z kanclerza i czterech sekretarzy stanu, odpowiedzialnych tylko przed Głową państwa.

a) Kanclerz państwa, oprócz zwierzchnictwa i faktycznej władzy decydującej nad innymi resortami, jest zarazem Sekretarzem stanu dla spraw zagranicznych i zastępcą Głowy Państwa w razie jej nieobecności lub wakansu.

b) Sekretarz stanu dla sił zbrojnych kieruje niemi pod względem uzbrojeniowym i administracyjno-aprowizacyjnym. Komenda jednak armją – z zastrzeżeniem ogólnego zwierzchnictwa dla regenta – spoczywa w ręku Marszałka Polski, mianowanego przez regenta i mającego w swym zakresie stanowisko wyższe od Sekretarza Stanu i pierwsze miejsce w Radzie Ministrów po kanclerzu.

c) Sekretarz stanu dla wyznań, sprawiedliwości i wychowania publicznego, kumulujący pod swem kierownictwem dotychczasowe resorty wyznań i oświaty oraz sprawiedliwości.

d) Sekretarz stanu dla gospodarstwa narodowego ma pod sobą skarb, przemysł i handel, rolnictwo, roboty publiczne i komunikacje.

e) Sekretarz stanu dla spraw wewnętrznych zawiaduje wszystkiemi innemi resortami wewnętrzno-państwowemi.

W obrębie każdego Sekretarjatu istnieją dla poszczególnych kompleksów spraw Podsekretarjaty Stanu.

Mniejszości autochtoniczne reprezentowane są także przez Podsekretarzy stanu.

3. RADA PRZYBOCZNA.

Zaprzysiężona Rada Przyboczna, mianowana przez regenta w składzie 25 członków, jest ciałem informacyjno - doradczem, bez inicjatywy ustawodawczej, działającem przy osobie regenta.

4. PARLAMENT.

A. Senat składa się ze 100 członków. W skład jego wchodzą a) wiryliści w osobach wszystkich biskupów djecezjalnych i zwierzchników innych wyznań, rektorzy wyższych uczelni o pełnych prawach uniwersyteckich, prezes Polskiej Akademji Umiejętności, oraz odznaczeni orderem Orła Białego, b) delegaci sejmów wojewódzkich z odpowiednio wysoką granicą wieku i wyższym cenzusem wykształcenia, c) nominowani przez regenta z pośród osób, szczególnie dla kraju zasłużonych, przyczem ogólna ilość wirylistów i nominatów nie może przekraczać połowy członków senatu, d) osoby ewentualnie kooptowane przez senat, jednak w liczbie nie przekraczającej 10% jego składu.

B. Sejm składa się z 200 członków — delegatów sejmów wojewódzkich. Wybierać do sejmów wojewódzkich mają prawo:

a) obywatele 28-letni z 1 głosem,
b) ojcowie oraz matki-wdowy, mające dzieci poniżej wieku 28 lat, z podwójnym głosem,
c) obywatele z ukończonem wykształceniem akademickiem z potrójnym głosem,

Wybierane mogą być osoby w wieku przynajmniej 28 lat i z wykształceniem conajmniej średniem (ogólnem lub zawodowem).

5. SAMORZĄD.

A. Samorząd terytorjalny tworzą:

a) sejmy wojewódzkie,
b) rady gminne.

B. Sejmy wojewódzkie dzielą się na komisje (izby): administracyjną, gospodarczą, oświatową, polityczną, i t. d., a rady gminne na analogiczne komisje, lecz w miarę potrzeby.

C. Ustawodawcze kompetencje sejmów wojewódzkich określi osobna ustawa, precyzująca również ściśle sprawy, należące do sejmu głównego.

D. Specjalna ustawa określi ordynację wyborczą o szerokich zasadach do rad gminnych.

Refleksje noworoczne ważne dla stałych czytelników

Słyszymy nieraz krytykę czy pytania — które dobrze rozumiemy — dlaczego Nasza Przyszłość tak ostro, tak niemal „beznadziejnie" traktuje, a nawet wprost piętnuje różne sprawy krajowe, różne stany polskiego ustroju i nastroju oraz postępowanie różnych sfer społeczeństwa, oficjalnych i prywatnych, stwarzając sobie przez to niemal wszędzie wrogów, a już conajmniej przeciwników? Dlaczego — pyta niejeden — nie przyłącza się Nasza Przyszłość do ogólnego w kraju prasowego chóru i nie usiłuje przyczynić się do optymistycznego podniecania nastroju? Dlaczego Nasza Przyszłość znajduje jakgdyby jakąś dziką rozkosz w „niepotrzebnem" narażaniu się na miotany na nią ciągle zewsząd grad kamieni? Czy to mądre, praktyczne i w danych warunkach właściwe?

Jasną i wyraźną odpowiedzią na wszystkie te krytyki i pytania, których powody doskonale wyrozumiewamy na podstawie formy zewnętrznej wielu naszych artykułów, rozpoczynamy Rok Nowy. Rozpoczynamy go zaś niniejszem wyjaśnieniem dlatego, że, o ile poprzedzające artykuły tego zeszytu przygotowane zostały i wydrukowane jeszcze w ciągu grudnia, to obecna odpowiedź jest już styczniowym płodem, zamieszczonym w ostatniej chwili przed zamknięciem i ekspedycją niniejszego numeru, w zasadzie jeszcze grudniowego.

Przedewszystkiem parujemy cios ciosem — pytanie pytaniem: czy twarde, zdecydowane, męskie, uczciwe, bezkompromisowe mówienie prawdy współziomkom jest w ogólnym ruchu rozwoju narodowego pesymizmem, czy optymizmem w swych ostatecznych rezultatach?

Na to najważniejsze, kardynalne dla głębiej ujętej sprawy narodowej pytanie, niech zechce każdy stały, a więc dobrze o naszych istotnych dążeniach publicystycznych poinformowany czytelnik wyraźnie sam sobie znaleźć odpowiedź. Bo w niej leży sedno sprawy. Czy mamy dostrajać nasze struny do

ogólnego prasowego i wiecowego chóru, do chóru całej masy zrzeszeń i czynników propagandowych wszelkiego rodzaju i przyczyniać się, jako jeden z wielotysięcznych pionków do ustawicznego wytwarzania sztucznej atmosfery filisterskiego entuzjazmu? Czy mamy zamykać sobie i drugim oczy i uszy na najkapitalniejsze wewnętrzne i zewnętrzne, nieraz groźne problemy, nieraz zgubne w skutkach niedomagania, których kurtuazja polityczna poruszać innym nie dozwala, a które nikną chwilowo pod sztuczną platformą uroczystych obchodów, rozgłośnych fanfar z różnych trybun propagandowych i w łopocie chorągwi tryumfalnych pochodów, nieraz bardzo pięknie inscenizowanych?

Oczywiście, z punktu widzenia dobrego interesu handlowego naszego wydawnictwa byłaby taka taktyka najłatwiejszą, najwdzięczniejszą, a przedewszystkiem najwygodniejszą. Bo, jak to nam kładą od dawna w uszy różni wydawcy i publicyści — od najpoważniejszych aż do brukowych — „każde" wydawnictwo winno być ostatecznie „zdrowym interesem handlowym". Można uprawiać, jak twierdzą, nawet zaciętą opozycję przeciw danemu rządowi lub ministrowi (zwłaszcza, jeżeli samemu nie ma się szans zostania ministrem lub choćby tylko posłem), o ile opozycja przynosi jakiś dobry interes w postaci np. skupienia dokoła oponującego wydawnictwa dostatecznie szerokich sfer malkontentów, a zwłaszcza płacących prenumeratorów. Ale nie należeć do żadnego sztucznie-radosnego, ani sztucznie-opozycyjnego chóru filisterstwa krajowego, lecz narażać się wszystkim dokoła rąbaniem prawdy w oczy i wysoce nietaktownem zrywaniem zasłon z wszelkiej „rzeczywistości urojonej" — to chyba istne samobójstwo. Bo kto w Polsce stanie ostatecznie za takiem wydawnictwem, za tak „pesymistycznym" prądem prawdy i propagandy, który nigdzie nie szuka oparcia, ale każdemu nietaktownie mówi prawdę i każdego bije po głowie?

Niechże uspokoi się pod tym względem każdy życzliwy czytelnik Naszej Przyszłości, tak, jak my całkiem jesteśmy spokojni. Prawda, że nie mamy za sobą znarkotyzowanych sztucznie tłumów, ale, ponad ich głowami, wysoko ponad platformą codziennej konjunktury i płaskiej, grubo materjalistycznej lub sprytnie rozgrywkowej tromtadracji, mamy za sobą — Polskę! Tę właśnie prawdziwą, nadrzędną Polskę, niby romantyczną, a w gruncie rzeczy najbardziej realną, która tylko prawdą dziejową istnieć i pomyślnie rozwijać się może.

I dlatego, nie bacząc na ilość naszych prenumeratorów, nie bacząc na żadne publicystyczno-polityczne „systemy ustabilizowane", nie oglądając się na ewentualne ciosy konfiskat, nie tchórząc przed żadną chwilowo modną i krajową potęgą, nie bacząc nawet na krytyki i nagany najbliszych naszych przyjaciół, a już zgoła za nic mając sobie murzyńskie fetysze — niby niewzruszalne — przeklętych, zakłamanych, nawskroś oszukańczych „zdobyczy socjalnego postępu", idziemy niewzruszenie naprzód z rdzennie polskim toporem w dłoni.

Czy to pesymizm? Ejże, kochani rodacy, nam się wydaje, że to właśnie coś wręcz przeciwnego. Bo to, co z nieugiętą konsekwencją i z coraz bardziej doświadczoną świadomością od dziewięciu już prawie lat robimy, jest dosłownie podobne do prostego obowiązku strażnika pewnej drogi, który, widząc lekkomyślnego przechodnia, awanturującego się na niepewną kładkę ponad przepaścią lub bagnem, gdy silny most opodal jest widoczny, rąbie mu przed oczyma tę zdradliwą kładkę, aby uniemożliwić mu niebezpieczne przejście i skierować opornego na most bezpieczny i trwały.

Rzecz jasna, że taki lekkomyślny a niecierpliwy podróżny obsypie życzliwego mu, ale zdecydowanego w wykonaniu swego obowiązku strażnika gradem najgroszych słów; zagrozi mu nawet „doniesieniem do wyższej władzy". Zagrozi mu w pierwszej pasji wyrzuceniem go z posady. Tak, ale nie mniej przyzna ów lekkomyślny, dumny, a popędliwy podróżny, ochłonąwszy z pierwszej złości, że jednak strażnik miał rację, wstrzymując go przed pięknie wymalowaną, lecz kruchą kładką i wskazując drogę na trwały most.

Jak sądzisz, szanowny czytelniku: czy akcja tego strażnika względem lekkomyślnego przechodnia, przyciągniętego miłą oku barwnością kruchej kładki, była w istocie swej i w rezultacie wypływem pesymizmu, czy optymizmu? Czy skruszenie pstro malowanej deszczułki nad przepaścią lub bagnem, a zdecydowane wskazanie na szary most o granitowych przęsłach było korzystnem, czy nie korzystnem dla przechodnia? Odpowiedź dać sobie musisz, czytelniku „Naszej Przyszłości", krótko a węzłowato: tak, lub nie! Wszelkie inne argumentacje byłyby w tym wypadku frazesami bez praktycznego dla ciebie i dla kraju znaczenia.

Jeżeli uznasz nas za pesymistów, to odtrąć na bok owego strażnika „naszej i twojej przyszłości" i wal naprzód po owej pięknie

malowanej kładce tryumfalnym marszem, z muzyką z przodu i ztyłu. Obrzuć obowiązkowego strażnika najgorszymi wyzwiskami lub gestem suwerennej pogardy. Wszak to możesz zrobić bez trudu każdej chwili. Tylko, że gdy w połowie przejścia krucha deska malowana załamie się nagle i wlecisz w przepaść lub bagno, z których ze smętnym jękiem i konwulsyjnemi odruchami rozpaczy napróżno będziesz starał się wydobyć i wołać o pomoc, to pamiętaj, że w tem położeniu sumienny strażnik „Twojej Przyszłości" nie będzie ci już wstanie dopomóc! Zwróć się wówczas z jękiem twoim do tych wszystkich, którzy, maskując wciąż polską prawdę dziejową i rzeczywistość współczesną dla osiągania chwilowych efektów, kładkę tę zbudowali i barwnie pomalowali. Niech oni ci wówczas pomogą, jeżeli wogóle potrafią!

Oto, szanowny, stały nasz czytelniku, cała istota i tajemnica „Naszej Przyszłości". Ona nie tylko rąbie bezkompromisowym toporem samo wejście na różne niebezpieczne, ultra-modernistyczne huśtawki nowoczesnych konceptów ustrojowych, partyjnych, społecznych, gospodarczych i innych, starając się kruszyć wszelką narkozę blagi, ale równocześnie wskazała już dotąd na dziesięciu tysiącach stronic druku owe solidne, mocno i logicznie zbudowane mosty, po których iść może i powinna bezpiecznie polska myśl i akcja polityczna i gospodarcza.

Wskazała i przygotowała owe drogi „Nasza Przyszłość" na kilkunastu najważniejszych, dobrze skonkretyzowanych odcinkach — czy kierunkach — polskiej racji stanu, podając w całym tym wielkim, wielostronnym zakresie zarówno teoretyczne podstawy na doświadczeniu przeszłości dobrze oparte, jak i praktyczne metody postępowania, wyłuszczone coraz dokładniej w długich serjach artykułów propagandowych i sprawozdawczych.

Sprawozdawczych — gdyż nie ograniczając się do publicystyki, stworzyła „Nasza Przyszłość" dla praktycznej realizacji swych wskazań instrument w postaci „Związku Polskiej Myśli Państwowej", który, walcząc z niezmiernemi trudnościami, stworzył jednak w ciągu szeregu lat konkretne, przykładowe fakty dokonane, z których każdy inteligentny Polak, znający nasze wydawnictwo oraz akcję czynną, ma przed oczyma gotowe drogowskazy postępowania. Od potężnego zainicjowania w pierwszych podstawach całego dzisiejszego ruchu kanonizacji Królowej Jadwigi i wydobycia na wierzch prawdziwie skutecznej drogi walki z obcemi agenturami w najszerszym zakresie, broniąc równocześnie bezkompromisowo prawa własności prywatnej — bez

którego ulegniemy nieuchronnie marksowskiej doktrynie mimo wszelkich hurrapatryjotycznych i pseudonaukowych frazesów — aż do skonkretyzowanych, rdzennie polskich koncepcji ustrojowych, wolnych od małpowania zagranicznych nowinek i aż do należytego określenia i podniecenia ducha politycznej i gospodarczej ofenzywności i ekspansji narodowej, niemasz żadnej ważniejszej sprawy polskiej wewnętrznej i zewnętrznej, którejby „Nasza Przyszłość" stopniowo nie skonkretyzowała, podając swym czytelnikom oficjalnym i prywatnym do czytania.

A że przy całej tej, nawskroś bezinteresownej, z odpowiednim integralizmem prowadzonej robocie, kontynuowanej ostro, ale z niezachwianym optymizmem w organiczną trwałość i wielką misję dziejową Polski, staliśmy się z biegiem lat niewygodni dla wielu, bardzo wielu karjerowiczów i ludzi „chwilowych efektów", na to nie możemy pomóc, ani zważać. Utwierdza nas zaś na tej trudnej drodze obserwacja, że stopniowo, zwolna, z różnych stron kraju i z różnych sfer społeczeństwa — duchownych, wojskowych i cywilnych wszelkiego zawodu — zwracają się do nas coraz częściej ci, którym „Nasza Przyszłość", choćby tylko przypadkiem i dorywczo, wpadła w rękę i którzy ją objektywnie, bez uprzedzeń, raz i drugi przeczytali. A ten charakterystyczny objaw ma dla nas większe znaczenie, niż wszelkie krytyki i kamienie i niż mogłyby mieć wszelkie rozgłośne, emfatyczne pochwały.

Równym, spokojnym krokiem zmierzamy w „przyszłość", witając serdecznie każdego, kto uczciwie i z przekonaniem zechce do nas się zbliżyć, ale bynajmniej nie zabiegając o niczyją łaskę i tanią popularność.

Redakcja.

Osobiste. Wydawca „Naszej Przyszłości" i prezes Zw. Polskiej Myśli Państwowej, dr. Jan Bobrzyński odznaczony został krzyżem komandorskim Węgierskiego Orderu Zasługi za wieloletnią pracę nad politycznem zbliżeniem polsko-węgierskiem, a zwłaszcza nad propagandą sprawy wspólnej granicy między obu państwami.

